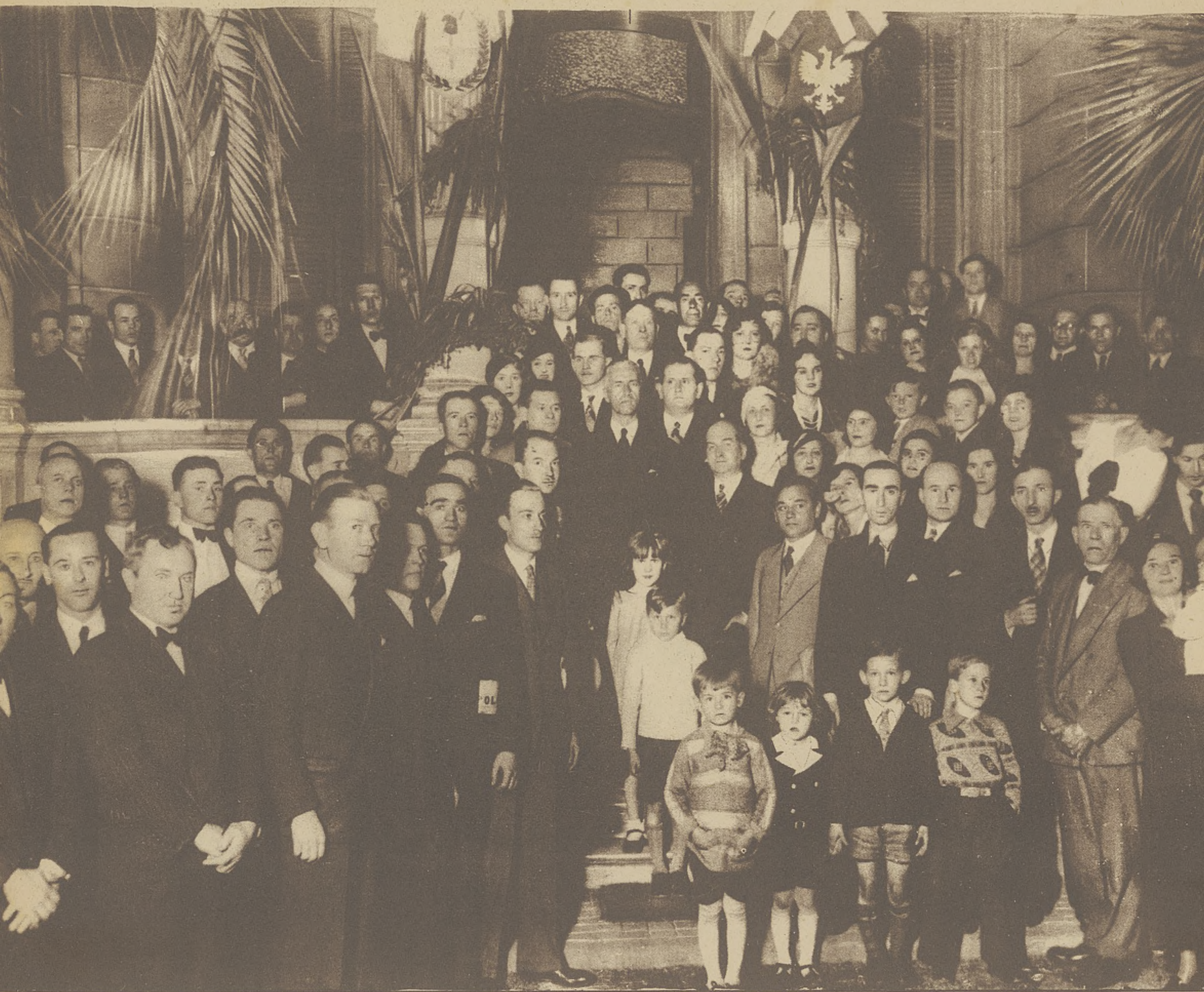
POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CENA 1 ZŁ
ZESZYT 3 1933 r.

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ



Obrazek z ulicy w Tunisie



P. Marszałek Raczkiewicz przed Domem Polskim w Buenos Aires.

Tam, gdzie przebywał p. marsz. Raczkiewicz

Na terenie Ameryki Południ. mieszka zgórą 300.000 naszych rodaków, zajmujących się głównie rolnictwem i skupionych prawie wyłącznie w Brazylji, Argentynie i Uruguayu. Masa ta troskliwie pielęgnuje swój język i tradycje narodowe i dokłada wszelkich starań, aby utrzymywać żywy kontakt z daleką Ojczyzną.

Aby ten kontakt jeszcze bardziej się zacieśnił, prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, *p. marszałek Raczkiewicz*, w lecie roku bieżącego zwiedził osiedla polskie w Brazylji, Argentynie i Uruguayu.

Dnia 23. czerwca, po 12 dniach podróży na statku „*Massilia*", przybył p. marszałek Raczkiewicz do Rio de Janeiro. W porcie powitali go: poseł Rzeczypospolitej Polskiej, *p. dr. Grabowski*, wraz z personelem Poselstwa, przedstawiciel rządu brazylijskiego, delegaci Tow. Polsko-Brazylijskiego, prasy brazylijskiej oraz licznie zgromadzeni Polacy. Zgromadzeni serdecznie powitali p. marszałka Raczkiewicza, hojnie obdarowując go kwiatami. Rząd brazylijski oświadczył, że uważa p. marszałka Raczkiewicza za swego gościa i zarezerwował dla niego i towarzyszy jego podróży apartamentą w hotelu „Gloria". Panu Marszałkowi towarzyszyli w drodze redaktor Bohdan Lepecki oraz p. Adam Piotrowski. Po krótkim wypoczynku, p. Marszałek złożył wizyty członkom rządu brazylijskiego.

24. czerwca polskie Tow. „*Polonia*" urządziło przyjęcie na cześć p. Marszałka. Licznie zgromadzona Polonja grzmotem oklasków powitała wchodzącego na salę dostojnika polskiego. Imieniem kolonji polskiej w Rio de Janeiro przemówił prezes „Polonji" *p. Adam Nowicki*, a po nim *p. Filip*, zaznaczając, iż wychodźtwo polskie powinno zachowywać jaknajwiększą spoistość i spełniać gorliwie swoje obowiązki zarówno wobec swego narodu, jak i państw, na terenie których losy kazały im zamieszkiwać.

W czasie pobytu p. marszałka Raczkiewicza w stolicy Brazylji, przyleciał tam as polskiego lotnictwa *kpt. Skarżyński*. Pan Marsałek powitał go na lotnisku, składając mu serdeczne życzenia w imieniu całej Polonji Zagranicznej.

26. czerwca na cześć p. Marszałka odbył się obiad w Poselstwie Rzeczypospolitej Polskiej, a potem raut,



Sao Paulo, stolica nadbrzeżnej prowincji Brazylji, obejmującej 290 876 km². Miasto liczy 700 000 mieszkańców.

który zgromadził najwybitniejszych dygnitarzy brazylijskich, ambasadorów i posłów, akredytowanych w Rio de Janeiro, przedstawicieli prasy oraz sfer towarzyskich stolicy. W czasie przyjęcia p. Marszałek udekorował Złotym Krzyżem Zasługi ministra spraw zagranicznych Brazylji *p. Afranio de Mello Franco*, byłego przewodniczącego Zgromadzenia Ligi Narodów i wypróbowanego przyjaciela Polaków.

30. czerwca p. marszałek Raczkiewicz został przyjęty na specjalnej audjencji przez prezydenta Brazylji, *dr. Getulio Vargasa* w pałacu na Cattete, a w nocy tegoż dnia wyjechał do Sao Paulo, skąd po złożeniu oficjalnych wizyt i zwiedzeniu miasta udał się do Parany.

W Paranie...

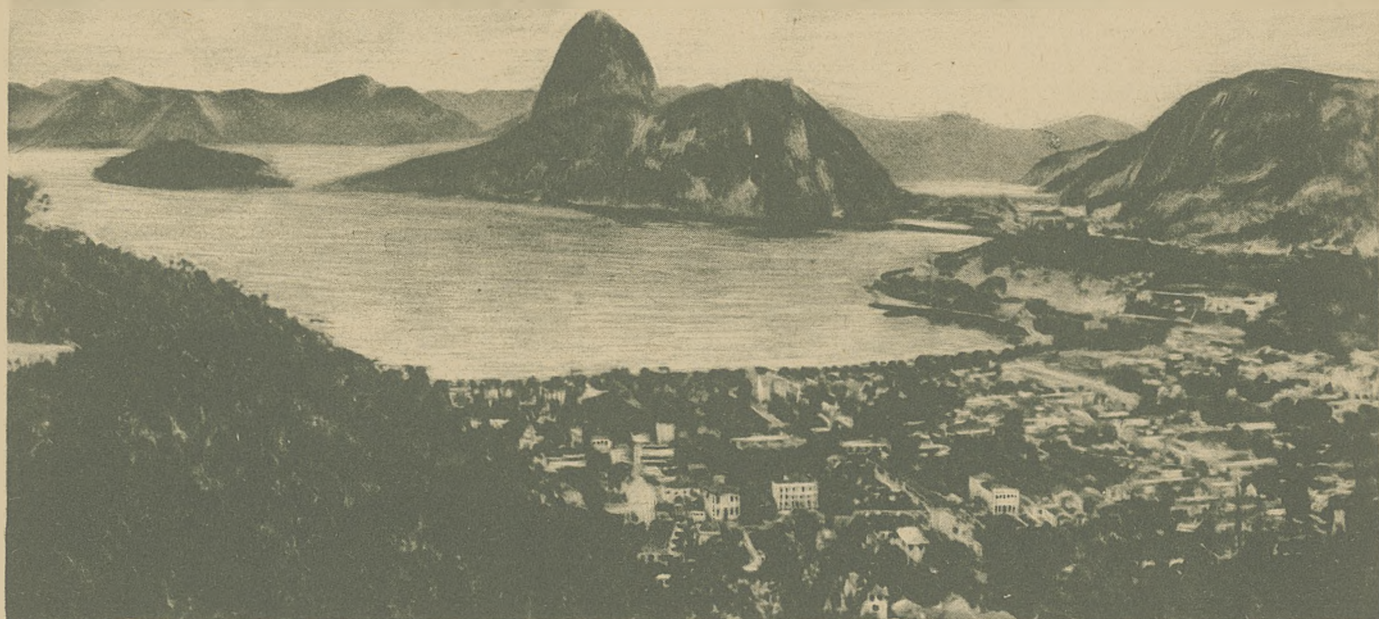
2. lipca przybył p. Marszałek do Kurytyby, powitany przez p. konsula generalnego *Staniewicza*, przedstawicieli stanu Parana oraz tłumy publiczności. Następnego dnia w domu Związku Polskiego odbyła się uroczysta akademja, na której przemówili: prezes Centralnego Związku Polaków w Brazylji, *p. Gontarski*, konsul generalny *p. Staniewicz* oraz superior ks. ks. Misjonarzy *ks. Ludwik Bronny*. Wszyscy mówcy podkreślali te gorące uczucia, jakie żywi Polonja brazylijska do dalekiej Macierzy.

Odpowiadając na mowy, p. marszałek Raczkiewicz zaznaczył, *iż marzeniem jego od wczesnej młodości było pragnienie zetknięcia się z naszą Polonją zamorską. Dzisiaj, kiedy szczęśliwe losy pozwoliły mu na urzeczywistnienie tych planów, odczuwa głęboką radość, że może zarówno imieniem starego kraju, jak i rozproszonego po świecie wychodźtwa, zanieść serdeczne pozdrowienia ćwierćmiljonowej Polonji brazylijskiej.*

Polska — mówił p. Marszałek — *zdaje sobie dokładnie sprawę z wysokich wartości, jakie reprezentuje pionierski żywioł polski w Brazylji i jest pełny podziwu dla twórczej pracy rolnika polskiego, rąbią-*



Płody plantacyj i puszczy dziewiczej w drodze do Sao Paulo



Rio de Janeiro z widokem na „Głowę cukrową"...

cego z zawziętą wytrwałością nowe szlaki w głąb puszczy dziewiczej. Stary kraj oczekuje od Polonji brazylijskiej dalszych produktywnych wysiłków w kierunku rozwoju swojego życia kulturalnego i gospodarczego na pożytek Narodu Polskiego i pięknej ziemi brazylijskiej, która ich z całą gościnnością i serdecznością przygarnęła. Miłość do starej ojczyzny i gorący sentyment do Brazylji powinny zgodnie panować w sercach wszystkich naszych rodaków na ziemi św. Krzyża. Burzliwe oklaski nagrodziły przemówienie prezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Następnie *p. Jeziorowski* mówił o prawach Polski do morza i Pomorza, poczem odbyły się popisy artystyczne. 4. lipca p. marszałek Raczkiewicz odbywał konferencje z przedstawicielami Polonji brazylijskiej. Najważniejszą była z zarządem Centralnego Związku Polaków, naczelnej organizacji polskiej w Brazylji, zaś wizyta w *„Junaku"*, organizacji sportowej, obejmującej całą młodzież polską w Brazylji, pozwoliła p. Marszałkowi zapoznać się z żywiołowem tempem rozwoju kultury fizycznej wśród polskiej młodzieży podzwrotnikowej. Dzięki tej pożytecznej instytucji ustało wynaradawianie przez sport, tak częste w krajach zamorskich.

Kolonista polski nad rzeką Tibaby

P. Marszałek odwiedził również szereg kolonij podkurytybskich. W Abranches zetknął się z trzeciem pokoleniem wychodźtwa polskiego i stwierdził, że duch polski równie jest mocny wśród tych, którzy przybyli z Polski, jak i tych, którzy przyszli na świat pod słonecznem niebem Brazylji. Podejmowali go tam serdecznie koloniści z ks. Góralem na czele. W Affonso Penna zetknął się p. Marszałek z emigracją świeższą, która jednak dokonała bardzo pięknej pracy. W Araukarji odwiedził znów nestora naszej emigracji parańskiej, *dr. Czakiego*, którego życie było jednem pasmem poświęceń dla dobra Polski i sprawy wolności.

W czasie pobytu p. Marszałka w Kurytybie, władze parańskie, pragnąc uczcić wysokiego dostojnika polskiego i wyrazić swoje sympatje dla pracowitego ludu polskiego, którego energji i wytrwałości Parana w dużej mierze zawdzięcza swój rozwój, urządziły defiladę wojsk stanowych przed p. Marszałkiem i udzieliły mu wszelkich ułatwień w jego podróżach po kraju.

W Ponta Grossy...

Następnie p. Marszałek udaje się do stolicy stepów parańskich Ponta Grossy. Przed miastem, na moście na rzece Tibahy, witali p. Marszałka przedstawiciele Polonji w Ponta Grossy, którzy przybyli w samochodach zwykłych i ciężarowych, aby tłumnie powitać przedstawiciela Odrodzonej Polski. Tłum ciasnem kołem otoczył wysłannika Macierzy i garnął się do niego z bezmierną miłością.

Tow. *„Królowej Korony Polskiej“* urządziło popis dzieci miejscowej szkoły zakonnej. Młodzież była przybrana w kostjumy o barwach narodowych. Dzieci śpiewały, wykonywując równocześnie ćwiczenia gimnastyczne. Robiły to sprawnie i z komiczną powagą. Zadowolony z popisu p. Marszałek przemówił do dzieci, pochwalił je za sprawność i oświadczył, *że powie dzieciom w starej Ojczyźnie, że polska dziatwa w Ponta Grossy nietylko nie przynosi ujmy narodowi polskiemu, ale uczy się pilnie i wyrośnie na dobrych Polaków i pożytecznych obywateli pięknej Brazylji.*

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszył p. Marszałek do kolonij polskich w dorzeczu Ivahy. Najbliższym etapem była kolonja Tres Bicos, gdzie p. Marszałek zabawił kilka dni, zapoznając się z codziennem życiem, troskami i radościami naszych pionierów, rzuconych w samo serce podzwrotnikowej puszczy dziewiczej, pozbawionych możliwej komunikacji ze światem.

Z nad Ivahy p. Marszałek udał się z powrotem do Ponta Grossy, poczem odjechał w towarzystwie konsula generalnego Rzeczypospolitej Polskiej p. Staniewicza do Marechal Mallet, żegnany przez władze, wojskowość, młodzież szkół polskich i tłumy publiczności. Na dworcu w Mallecie oczekiwały już p. Marszałka tłumy miejscowych rodaków. Powitalne przemówienie wygłosił *p. Paul*, cenzor Centralnego Związku Polaków, przywódca miejscowej Polonji. Burzliwe oklaski i okrzyki na cześć Polski i p. marsz. Raczkiewicza zakończyły jego gorące przemówienie. Następnego dnia p. Marszałek udał się do miejscowego Kolegjum Polskiego im. Kopernika.

W Mallecie...

Kolegjum w Mallecie jest najwyżej postawioną uczelnią polską w Paranie. Dla kolonistów zaszytych w głębinach puszczy dziewiczej, stanowi ono prawdziwą „akademję“. Kierownikami jego byli ludzie dzielni i ideowi, którzy zrobili bardzo wiele, aby podnieść szkołę na odpowiedni poziom. Wśród nich wymienić należy dzisiejszego *ppłk. Ryzińskiego i majora dypl. M. Fularskiego*, znanego pisarza i podróżnika, oraz *dr. A. Zarychtę*; obecnego naczelnika wydziału polityczno-emigracyjnego w M. S. Zagr. Kolegjum to wychowało już cały zastęp tęgich obywateli, biorących żywy udział w pracy społecznej.

Dalszy ciąg opisu z pobytu p. marsz. Raczkiewicza w Brazylji zamieścimy w następnych zeszytach. Równocześnie zamieścimy dalsze ciekawe ilustracje, które — według ostatnich listów, jakie otrzymaliśmy z Rio de Janeiro — wkrótce nadejdą.



Dziewczyna mulacka z prowincji Sao Paulo



Ananasy i melony na targu w Sao Paulo

Sao Paulo

Znajduje się dużo dużo jeszcze romantyków, którzy na wspomnienie Południowej Ameryki dostają z emocji bicia serca. Im się zdaje, że tam jest raj na ziemi, że tam złote jabłka wiszą na drzewach... To też warto pod adresem tych wszystkich romantyków zrobić uwagę: *„Miejcie się na baczności, bo tam nie jest tak jak wam się wydaje!* Nie wszystko złoto, co się świeci. Nie wszystko jest tak piękne, jak niektórzy przedstawiają w swoich opisach. Nie wszyscy tam zostają, którzy przybywają, a ci, którzy pozostają, muszą się pod twardą ręką losu nieraz łamać, by dojść do czegoś.

Gdy w swojej ojczyźnie niema pracy, wielu naszym rodakom wydaje się, że gdzieś tam pod obcem niebem znajdzie pracę i czegoś prędzej się dorobi. Do tych krajów, które tak wabią naszych romantycznych rodaków, należy Brazylja.

Jeżeli już ktoś koniecznie chce jechać do tej wymarzonej Brazylji, to jednak musi pogodzić się z tem, że miejsce dla siebie może znaleźć tylko w głębi kraju. Jeszcze widoki egzystencji znajdują się w południowej Brazylji, mianowicie w Sao Paulo, gdzie są duże możliwości rozwojowe dla osadnictwa — przedewszystkiem na wyżynach położone tereny, gdzie panuje wieczna wiosna, a klimat odpowiada europejczykom.

Główne miasto Sao Paulo ma 700.000 mieszkańców i pod względem wielkości jest drugiem miastem w Brazylji. Leży ono w środku terenów, gdzie znajdują się największe plantacje kawy, rozległe plantacje bawełny i przoduje swoją ruchliwością handlową wszystkim miastom w Brazylji. Pod każdym względem Sao Paulo chce się upodobnić do miast europejskich. Jak wszystkie wielkie miasta Nowego Świata, Sao Paulo stara się wprowadzić nowoczesne urządzanie techniczne, troszczy się o rozbudowę i rozwój szkół wszelkiego typu, by w kraju podniósł się poziom oświaty i kultury.

Sao Paulo jest metropolją międzynarodową. Tu mieszkają Polacy, Francuzi, Hiszpanie, Holendrzy, Belgijczycy, Rosjanie, Turcy, Austrjacy, Niemcy, Włosi obok tubylców i przedstawicieli różnych egzotycznych szczepów. Każda nacja zachowuje tu swoje właściwości kulturalne, swoją świadomość narodową. Na każdym kroku spotyka się tu niespodzianki, bo każda ulica wydaje się odrębnym krajem. Podajemy kilka osobliwości. Tu spotyka się kobiety palące cygara i fajki, krowy doi się na ulicach i odrazu mleko się sprzedaje, dalej znów widzi się kuchnie, na których gotuj się strawę i sprzedaje. Między tem wszystkiem krzykliwi handlarze przy pomocy wołów i mułów zwożą do miasta owoce pracy plantatorów i mieszkańców lasów dziewiczych.

Gdy wyjdziemy na peryferje miasta, widok zmienia się zupełnie. Niekiedy tak się zmienia, że wprowadza nas w zdumienie. Przedewszystkiem rzuca się w nasze oczy rzeźnia. Wokoło niej niezliczone stada sępów walczą o porzuconą padlinę lub wygrzebują zakopane odpadki. Widzimy dalej olbrzymie kopce mrówek, które objadają trupy zwierząt doszczętnie. Nie trzeba zbytnio oddalać się od miasta, by znaleźć się wśród podzwrotnikowej fauny, tego dziwnego świata, który jakże dla europejczyka jest inny i obcy!?! Tu spotyka się pierwsze osiedla kolonistów, drewniane chaty i gliniane lepianki... Ci koloniści ciężką pracą, w trudzie i mozole, zdobywają nowe tereny. Praca ta postępuje planowo i pod nadzorem. Najczęściej koloniści są podzieleni według swej narodowości i uzdolnień fachowych.

Oto zaledwie szkic z Sao Paulo.



Domek kolonisty polskiego w Affonso Penna

Rio de Janeiro

W wieczornych blaskach zachodzącego słońca stolica Brazylji Rio de Janeiro zajaśniała jak jakaś zjawa. Piękne są miasta, jak: Neapol, Konstantynopol, San Francisco, ale Rio de Janeiro ma coś w sobie nieopisanego, a szczególnie o zachodzie słońca...

Wjeżdżającemu do tego miasta rzuca się wszystko w oczy, począwszy od niczem nie zamąconej pierwotnej natury do pięknych i wspaniałych gmachów europejskich. Każde miasto portowe ma swoją osobliwość, po której zdaleka rzuca się w oczy. Port Rio de Janeiro znamionuje Pao de Acucar, t. zw. głowa cukrowa. Górą to nazwać nie można, bo ma zaledwie 373 mtr. wysokości, t. j. niewiele jest wyższa od ostatnich drapaczy chmur w Ameryce. Ale kształty tej skały są oryginalne: wygląda tak, jakby kto postawił olbrzymią głowę cukru. A ponieważ w Brazylji cukier jest jednym z najważniejszych produktów kraju, więc nazwano ją głową cukrową.

Jednak nie ze wszystkich stron przedstawia się jak głowa cukru. Wierzchołek Corcovado dochodzi do 712 mtr., a ponieważ z niego rozciągają się piękne widoki, jest tam wielki ruch turystyczny, a nawet zbudowano na niej kolej zębatą. Z tej strony góra przedstawia się jak wieloryb, strzelający swym wierzchołkiem jak fontanną do góry. Zresztą obraz stale się zmienia: od strony południowej rozciągają się soczyste trawy, a od strony północnej natomiast sterczą tylko nagie skały.

Każde miasto, które się rozciąga bądź to z niziny ku wyżynie lub odwrotnie, wszędzie daje cudowne widoki. Wieczorem, gdy się zapalają latarnie i światła w oknach, Rio de Janeiro można porównać z pierścieniem, wysadzonym brylantami, które błyszczą różnokolorowemi światłami.

*

W ostatnich latach port został rozbudowany i ulepszony. Dawniej groźnie sterczały szpiczaste skały, jakby najeżone łancami ku niebu, a dziś od strony morza w łagodnych łukach skręca się ku brzegom, które są oświetlone lampami elektrycznemi.

Niemniej wspaniały jest sam wjazd, na brzegu którego znajduje się pałac z filarami w stylu korynckim, a całość robi wrażenie, jakby to było wzięte z jakiejś fantastycznej bajki.

Rządy brazylijskie dużo zrobiły dla upiększenia swej stolicy. I nietylko pod względem wyglądu, ale również pod względem zdrowotnym... Nie tak dawno było tu siedlisko strasznej malarji i ludność obawiała się tu mieszkać, a dzisiaj Rio jest zupełnie zdrowem miastem.

*

Najgłówniejszym produktem kraju jest cukier, gdzie są olbrzymie plantacje trzciny cukrowej, założone w roku 1435 przez Portugalczyków. Ponieważ w międzyczasie powstała wielka konkurencja ze strony plantacji trzciny cukrowej w Indjach, rząd brazylijski postanowił ratować sytuację, zakładając olbrzymie plantacje bawełny.

Niemniej obszerne znajdują się w Brazylji plantacje kawy... Wogóle przed tym krajem stoi wielka przyszłość. Duża część kraju jest jeszcze niezdobyta... Ale zdobywają ją powoli, kawałek po kawałku, koloniści... Praca jest bardzo uciążliwa i wymaga dużo kapitałów... Nasi rodacy w Brazylji mogliby dużo o tych trudach opowiedzieć.

Swiatowy Związek Polaków już bliski!

Za niewiele już miesięcy zjadą się do Warszawy przedstawiciele ośmiomiljonowej Polonji Zagranicznej. Ze wszystkich krańców globu przybędą do stolicy wielkiego państwa mandatarjusze rozsypanych po świecie rodaków z obczyzny, aby radzić nad tem, jak mocniej i jeszcze bardziej zespolić Macierz z Wychodźtwem, jak Polonję Zagraniczną z objektu cudzych przetargów zamienić na czynnik zupełnie samodzielny, wprzegnięty w służbę wielkiej idei narodowej.

Żyjemy w epoce, kiedy słowa takie, jak „język ojczysty“, „naród“, „interes narodowy“, „wspólność rasowa“ nabierają zupełnie innej niż dawniej treści. Naród polski, który stworzył niegdyś teorję mesjanistyczną o swojem wielkiem posłannictwie dziejowem, musi uprzytomnić sobie, że jest naprawdę wielkim narodem i musi robić wszystko, aby to słuszne mniemanie było zawsze i w każdym poszczególnym wypadku głęboko uzasadnione.

Co powinna robić Polonja Zagraniczna, aby wziąć należyty i godny jej wielkości i sile udział w pochodzie narodu polskiego ku przyszłości?

Musi zerwać z błędami naszych przodków i stworzyć jednolity i zwarty blok, którego ani gwałt, ani chytrość, ani nienawiść nie potrafiłyby zdruzgotać. Na II-gim Zjeździe Polaków z Zagranicy powinien wreszcie powstać ów wytęskniony Światowy Związek Polaków.

I pewni jesteśmy, że Światowy Związek powstanie. We wszystkich ośrodkach emigracyjnych i mniejszościowych odbywa się zbawczy ferment, wszędzie zdrowe i aktywne elementy polskie popierają wielką robotę konsolidacyjną, zainicjowaną przez Radę Organizacyjną. Coraz częściej przychodzą wieści, że na tym lub na owym terenie nastąpiło zjednoczenie, że prywata ustąpiła miejsca interesowi publicznemu.

Z jakąż radością czytamy akcesy coraz to nowych organizacyj polskich do idei Światowego Związku Polaków! Wczoraj przyszły dobre wieści z Kanady i Brazylji, dzisiaj Argentyna staje pod sztandarem wielkiej idei, jutro już może pójdzie Francja... I powstanie wreszcie wielki, wymarzony i gorąco ukochany front ośmiu miljonów rodaków z zagranicy, usymbolizowany w Światowym Związku Polaków.

Piszący te słowa widział na froncie Domu Polskiego w Buenos Aires transparent z olbrzymim napisem: „Niech żyje Światowy Związek Polaków!“ Pod tem szczytnem hasłem winni skupić się na wychodźtwie wszyscy, którzy myślą i czują po polsku, którzy pragną wielkości i potęgi swego narodu. *B. Lepecki.*

Powstanie Bu Hamara... i arabska „fantazja"

Tanger należy dzisiaj do miast spokojnych. W jego zawiłych uliczkach nawet wśród mroku nie jest gorzej niż nocą w ulicach wielkich miast europejskich. Również zupełnie bezpiecznie można się obracać w jego okolicach.

Ale nie zawsze tak bywało. Jeszcze niedawno jak przybysz musiał przeżywać różne przygody, a oddalenie się od miasta było połączone z wielkiem niebezpieczeństwem. To też każdy musiał starać się o wojskową ochronę. Władza gubernatora i jego otoczenia daleko nie sięgała. Kiedy przed wojną światową zwiedzałem po raz pierwszy Marokko, kraj pogrążony był w zupełnej anarchji. Młody sułtan Abdul Asis, który niedawno był wstąpił na tron, zraził sobie ogromnie swoich poddanych przez kokietowanie europejskich władców. Niezadowolenie w kraju podniecał Bu Hamara, który się podawał za brata sułtana. On zgromadził wokoło siebie wielką masę zwolenników. Naprzeciwko zbuntowanego wysłał Abdul Asis większe oddziały wojska, które już do niego nie wróciły, bo przeszły na stronę rebeljantów.

Zbuntowani pod wodzą Bu Hamary wdarli się do pałacu w Fezie, zanim sułtan Abdul Asis zdążył opuścić swoją rezydencję. Również w Tangerze panowało wielkie podniecenie, ponieważ zbuntowani Kabylowie stanęli pod bramami miasta i wywoływali wśród mieszkańców wielki popłoch. Ponieważ nigdy tu spokojnie nie było, wypadki te ogromnie podniecały ludność.

Widziałem pewnego dnia nadzwyczajny pochód... Na grzbiecie muła leżał Arab, okryty krwawiącemi ranami... Ciało jego było mocno przywiązane do grzbietu muła. Był to urzędnik podatkowy... Przed dwoma dniami w towarzystwie kilku żołnierzy na rozkaz gubernatora został wysłany do sąsiedniej wioski, aby ściągnąć należne podatki. W żadnym kraju poborcy podatkowi nie cieszą się wielką sympatją, ale niechaj ich Bóg broni, by kiedyś zostali urzędnikami podatkowymi w kraju Kabylów... Już na początku wsi wita ich grad kamieni, a gdy to nie pomoże i poborca nie ucieka, cała wieś wylega naprzeciwko niego z bronią w ręku. Takie powitanie nietylko biednego urzędnika odstrasza, ale również oddziaływuje na towarzyszące mu wojsko, które ucieka. Gdy schwytają poborcę, pobiją go do krwi, przywiążą go do muła, i nieszczęśliwego zawiozą pod bramy Tangeru i pozostawiają własnemu losowi. Często całemi dniami błądzi zwierzę z nieszczęśliwym człowiekiem na swoim grzbiecie, aż gdzieś złapie go patrol i zajmie się umierającym człowiekiem.

Marokańskie wnętrze domu z wyszywanemi tkaninami na ścianach



Wiadomość o tem rozchodzi się z błyskawiczną szybkością i wywołuje bardzo przygnębiający nastrój. Zamyka się wtedy bramy miasta i mieszkańcy nie opuszczają swych progów, bo przeczuwają że to jest początek czegoś złego. Już wieczorem słyszy się strzelanie patroli i pojawiają się w zachodniej stronie ognie. Następnego dnia wyjeżdża garnizon wojskowy z Tangeru z polowemi armatami i karabinami maszynowymi przeciw rebeljantom.

Potem w ciągu następnych dni widzi się łuny pożarów nad wioskami Kabylów, a wreszcie poczynają wracać oddziały sułtana ze zdobytem bydłem, które najczęściej jest jedynym dobytkiem Kabylów.

O tych wypadkach myślałem. gdy teraz przechodziłem wzdłuż uliczek Tangeru. Gdy zobaczyłem na ulicy zaklinacza wężów, a wokoło niego zbitą masę gawiedzi, tamte wspomnienia odżyły we mnie. Ale uprzytomniłem sobie, że dziś ten tłum groźny już nie jest i wszystko należy do przeszłości...

Szedłem uliczką... Wokoło mnie toczyło się barwne życie. Wprawdzie Tangeru nie można porówny

wać z Kairem, Damaszkiem, Bagdadem, ale w tutejszych małych składach można zobaczyć niemniej wiele ciekawych rzeczy. Widzi się bogato tkane jedwabie, wazy i misy z mosiądzu i miedzi, starą artystyczną broń, strzelby wysadzane kamieniami i wykładane srebrem i kością słoniową, miecze pięknie cyzelowane, a wszystko wyłożone sławną skórą marokańską — safjanem.

W zaułkach ulic i na rogach widzi się garkuchnie, w których przyrządza się tutejsze specjały... Za parę miedziaków może sobie przybysz pozwolić na wszystko, co tu widzi... Otrzyma tu talerz zupy z kawałkiem baraniny, i kawał chleba i potrawę z daktyli albo placek z cebula smażony na oliwie.

„Fantazja"...

Ja i mój towarzysz mieliśmy szczęście oglądać widowisko swego rodzaju, zwane fantazją. Fantazja jest tem samem dla Arabów w północnej Afryce, czem były turnieje w czasie wielkich uroczystości dla starożytnych ludów Europy. Aby brać udział w tych turniejach, żadna droga dla jeźdźca arabskiego nie jest daleka i uciążliwa. Uroczystość odbywa się przed bramą Bab el Sok. Wielkie place, gdzie odbywają się postoje handlarzy i karawan muszą być opróżnione, aby jeźdźcy mieli miejsce na swoje popisy. Mury miasta na całej swej długości zapełniają się widzami, którzy przybyli nietylko z Tangeru, ale i z dalszych okolic. Przedni plac jest zarezerwowany dla władz państwowych oraz posłów obcych państw. Pod purpurowym namiotem gromadzą się zastępcy sułtana, gubernator, a dalej w innych namiotach znajdują się kobiety z haremu sułtana zawoalowane do niepoznania.



Marokański kawalerzysta

Był to zaiste malowniczy widok, rozradowanego tłumu w barwnych strojach i z niecierpliwością oczekujący na widowisko. Wokoło krążą sprzedawcy i zapraszają do nabywania owoców, słodyczy, lemonjady i wszelkich smakołyków. Ja i mój towarzysz podróży zajęliśmy bardzo dobre miejsca obok purpurowego namiotu. Niedługo trwało nasze oczekiwanie i rozległy się dzikie dźwięki trąb, bębnów, fletów i innych instrumentów. Fantazja zaczęła się. Na europejczyku nieprzyzwyczajonym do takich dźwięków robi to niesamowite wrażenie. Na czele wielkich oddziałów jadą tubylcy wyższej rangi, dalej starszyzna marokańska na wspaniałych pełnej krwi arabach... Wszystko błyszczy i mieni się ozdobami i strojami. Młodzi kawalerzyści stają szeregiem przed purpurowym baldachimem i pozdrawiają się uprzejmie. Gdy zastępca sułtana da ręką znak, kawalerzyści zepną konie ostrogami i puszczają się galopem wśród kłębów kurzu, który ich jak mgłą zakryje.

Gdy jeźdźcy pędzili w szalonym biegu, puszczali lejce z ręki i strzelali w powietrze albo rzucali strzelby na ziemię i podnosili je w biegu z największą zręcznością. Nieśmiertelny Bufallo Bill lepiejby tego nie robił, zwłaszcza rzucania w powietrze strzelby i łapania jej w najszybszym biegu. Publiczność szalała z entuzjazmu i radości. Jest charakterystyczne, że w tem wszystkiem, Arabowie koni nie tyranizują i zwierzęta nie czują się zmęczone... Wraz z jeźdźcami są w swoim żywiole i pokazują, że są naprawdę szlachetnej i pełnej krwi arabskiej.

Jako drugi punkt programu zjawiają się tańce. Taniec ten składa się z dzikiego strzelania pod nogi rzekomych przeciwników i tańczenia w takt naszego kadryla. Równocześnie tańczy kilkadziesiąt par. Można sobie wyobrazić, jaki tym tańcom towarzyszy piekielny hałas wśród dzikiej muzyki i strzelaniny. Im większy jest tumult, tem większa radość rozbawionego tłumu.

I tak idą nowe tańce, np. taniec wśród prochu, później rodzaj pantominy, co zwiastuje koniec uroczystości. Urządzają też wesela z wielbłądami, gdzie się porywa narzeczoną, robi się pościgi itd. Oczywiście jest to wszystko improwizowana komedja, bo narzeczona jest przebranym chłopcem.

Fantazja się kończy i tłum ociężale rozchodzi się. I ja z moim towarzyszem dr. Welti, popychani przez tłum, w tumanie kurzu staraliśmy się dostać do miasta. Kiedyśmy w pewnem miejscu skręcali, ujrzeliśmy no-

we widowisko. Człowiek w podeszłym wieku z błyszczącemi oczyma niósł jakąś płachtę na gałęzi. W pierwszej chwili myślałem, że to jest zaklinacz wężów, ale później się pokazało, że to jest obłąkany „święty" marokański. Dr. Welti pociągnął mnie za rękaw, bo podobne widowisko nie należało do przyjemnych.

Po całem Marokko dużo kręci się takich zwarjowanych „świętych", przed którymi ludzie uciekają tchórzliwie. Są to na pół zwarjowani fanatycy, ale i równocześnie wyzyskiwacze, gdyż od ludzi poprostu wyłudzają ofiary. Gdy taki „święty" zobaczy cudzoziemca, nie odczepi się od niego i będzie go napastować na każdym kroku. To też cudzoziemiec ucieka przed nim i stara się utonąć w tłumie. Nam się to jednak nie udało, bo „święty" nas spostrzegł i zaczął pędzić w naszym kierunku, a za nim tłum ciekawych. Aby nas spostrzec, rozumu miał dosyć... Przystąpił do mego towarzysza, dr. Welti, popatrzył na niego groźnie i tak się wydawało, jakby go znał i jakby miał na niego się rzucić. Szwajcar dr. Welti ani na sukundę nie stracił swojej zimnej krwi, skrzyżował ręce na piersiach, stanął przed nim i patrzył z powagą. Tymczasem „święty" stekiem obelg w arabskim języku począł obrzucać mego towarzysza.

— Ty psi synu! Znowu cię tu spotykam — krzyczał „święty" — Znowuś przyszedł na naszą ziemię? Wracaj skądeś przyszedł, albo kraju niewiernych już nigdy nie zobaczysz!

Wmieszało się w to kilka dostojniejszych osób, które nie chciały dopuścić do podobnego znieważania cudzoziemca. Pochwycono świętego obłąkańca i odprowadzono od napastowanych. Teraz już spokojnie mogliśmy odejść.

— Co to właściwie wszystko miało znaczyć? — zapytałem mego towarzysza, gdyśmy się znaleźli w hotelu.

— Ja go sobie nie przypominam — usłyszałem — Ale może on sobie mnie przypomniał z moich dawnych podróży na południe. Jest tu sekta mahometańska, która zaznacza się tem, że strasznie nienawidzi europejczyków. Sekta ta liczy miljony zwolenników na przestrzeni od Marokko poprzez Saharę aż do brzegów Arabji i Malajskiego Archipelagu. Sekta nosi nazwę „senussi". Gdyby walczyła otwarcie, nie byłaby niebezpieczna. Tymczasem sekta ta jest bardzo tajemnicza, propaganda jej wielka, a metody nieprzebierające w środkach. To czyni z niej bardzo groźną potęgę i przeciwnik ten jest bardzo niebezpieczny. Są to najstraszniejsi fanatycy.



Przepiękna scena z „fantazji"

— Czy miał pan z nimi jakąś przygodę? — zapytałem mego towarzysza.

— Tak! Coś panu o tem w krótkości opowiem. Ja jako badacz islamu starałem się zbadać ich tajemnice, ich organizację i naukę. Żadnemu jeszcze europejczykowi nie udało się dotrzeć do ich szkół klasztornych. Wyznawcy tej sekty mieszkają w niedostępnych miejscach. Kiedy przed 3 laty byłem w tym kraju, chciałem dotrzeć do tajemnic ich sekty. Mój towarzysz Mahmud doprowadził mnie tylko do połowy drogi i zniknął, pozostawiając mnie własnemu losowi. Ponieważ — jak pan wie — władam dobrze językiem arabskim i mam talent aktorski, więc w przebraniu arabskiem dostałem się do karawany. Wmieszani w karawany świętych braci dotarłem do ich klasztoru, którego progów niewierny jeszcze nie przestąpił. Z początku zdawało się, że wszystko dobrze idzie. Byłem traktowany jako towarzysz handlowy mojego Mahmuda i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Żeby nie wzbudzać podejrzenia, jaknajdalej trzymałem się od wszelkiej rozmowy. Za to nadstawiałem uszu i bacznie wszystko obserwowałem. Tym sposobem zebrałem dużo cennego materjału o nauce i zwyczajach senussi. Chociaż znałem dobrze mahometańskie religijne zwyczaje i zastosowywałem się do wszystkiego, jednak raz wpadłem i zdradziłem się. Pochwycono mnie i kazano mi się wytłumaczyć. O mały włos, a byłoby po mnie. Zawdzięczając tylko szczęśliwemu trafowi i pomocy Mahmuda, uciekłem z klasztoru i wydostałem się poza jego mury do oazy. Tam Mahmud miał znajomych, którzy ułatwili nam dalszą ucieczkę. Stąd dojechaliśmy do granicy Algieru, a dalej pojechałem koleją do Oranu. Przypuszczam, że ten „święty" warjat rozpoznał we mnie owego intruza w klasztorze jego sekty. Wobec tego trzeba się mieć na baczności, bo gdy się uweźmie jakiś santo na kogoś, to nie spocznie dopóki nie da upustu swej nienawiści.

DR. WŁADYSŁAW KORYTOWSKI
MARSYLJA

Garkuchnia na ulicach Tangeru



Z ŻYCIA POLAKÓW ZAGRANICĄ

RADA ORGANIZACYJNA

Odznaczenie wybitnych działaczy emigracyjnych

Z okazji 15-lecia niepodległości Państwa Polskiego dokonano szeregu dekoracyj zasłużonych działaczy społecznych i urzędników państwowych. Za wydatną pracę na niwie emigracyjnej odznaczono m. in : wiceprezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, mjr. dypl. Mieczysława Fularskiego (V klasa orderu „Polonia Restituta"), znanego działacza organizacyjnego i podróżnika kpt. Mieczysława Bohdana Lepeckiego (Złoty Krzyż Zasługi) oraz naczelnika Wydziału Polityki Emigracyjnej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, autora książki „Wśród polskich conquistadorów", dr. Apolonjusza Zarychtę (V klasa orderu „Polonia Restituta").

Odznaczenie znanych i cenionych działaczy emigracyjnych spotkało się z uznaniem wśród Polonji Zagranicznej, ceniącej wielce ich zasługi dla sprawy polskiej na obczyźnie.

Z akcji opieki szkół krajowych nad szkołami polskiemi zagranicą

Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało zarządzenie do kierowników placówek konsularnych w sprawie akcji opieki szkół krajowych nad szkołami polskiemi zagranicą.

Ministerstwo przywiązuje wielkie znaczenie do wymienionej akcji i poleca swym placówkom zagranicą jaknajwiększe z nią współdziałanie.

Zebranie organizacyjne Sekcji Akademickiej Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy

W dniu 13-go XI. odbyło się w Warszawie pierwsze zebranie Sekcji Akademickiej Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy. Obrady zagaił prezes Komitetu, dyr. Wiktor Ambroziewicz, który powierzył prowadzenie zebrania przewodniczącemu Sekcji, dyr. Wiktorowi Tomirowi Drymmerowi. Przewodniczący Sekcji zapoznał obecnych z wytycznemi programu pracy Sekcji, poczem konsul Rudolf Rathaus wygłosił referat w sprawie funduszu stypendjalnego dla kształcenia akademików polskich z zagranicy w kraju. Dyskusja, w której zabierali głos m. in.: dyr. Ambroziewicz, dyr. Dymmer, nacz. Kawałkowski, dyr. Lenartowicz, wizyt. Maciszewski, dyr. Swiechowski, p. J. Grzewaczewski, dyr. Zaleski — wykazała naogół dużą zgodność poglądów, streszczających się z tem, że akademicy nasi z Zagranicy winni studjować zasadniczo w kraju zamieszkania, a mogą przybywać na studja do Polski jedynie w wypadkach wyjątkowych, do których należy w pierwszym rzędzie konieczność uzupełnienia wiadomości o Polsce. Wiceprzewodniczącym Sekcji został prezes Koła Opieki nad Młodzieżą przy Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, p. Jerzy Paszkowski, a sekretarzem p. Janusz Stryjewski.

Organizowanie domu noclegowego dla bezrobotnych reemigrantów

W związku z kryzysem, jaki od kilku lat daje się dotkliwie odczuć naszej emigracji, wracają do kraju dość licznie bezrobotni emigranci, znajdujący się częstokroć bez żadnych środków utrzymania. Objaw ten jest niewątpliwie szkodliwy, gdyż w obecnym okresie kryzysu bezrobotni reemigranci nie mogą liczyć na znalezienie zatrudnienia w kraju i ciężar utrzymania ich spadnie na barki społeczeństwa. Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy dąży do tego, aby raczej umożliwić bezrobotnym emigrantom przetrwanie zagranicą do czasu znalezienia pracy, tembardziej, że czynniki, które sprowadziły robotników z Polski, zobowiązane są do zaopiekowania się nimi. Liczyć się jednak należy z faktem istniejącym. Bezrobotny reemigrant, nie opłacając w kraju składek na Fundusz Bezrobocia, nie jest uprawniony do korzystania ze świadczeń (zasiłków) z tego Funduszu i zanim uzyska pomoc z innego źródła lub odnajdzie krewnych, którzy mogliby zaopiekować się nim, znajduje się nieraz w sytuacji bardzo ciężkiej.

Poza doraźną pomocą żywnościową na dworcach w Zbąszyniu i w Poznaniu, udzielaną przez Stowarzyszenie „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie", niema dotychczas instytucji, któraby zaopiekowała się potrzebującymi pomocy reemigrantami, drogą za-



Kolonja polska w Misiones



Idylla z Południowej Brazylji

pewnienia im na krótki czas (kilku dniówek, dopoki nie dostaną się do przynależności gminnej) noclegu i posiłku.

W związku z tem Stowarzyszenie „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie“ wystąpiła z inicjatywą stworzenia w Warszawie schroniska noclegowego dla bezrobotnych reemigrantów, obliczonego na kilkanaście przynajmniej osób.

Ostatnio odbyła się w tej sprawie konferencja w Radzie Organizacyjnej, która wyłoniła komisję dla zorganizowania takiego schroniska. W skład komisji weszli przedstawiciele: Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, Stowarzyszenia „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie“ i Polskiego Biura Międzynarodowej Pomocy Emigrantom.

Podobne schronisko zostanie prawdopodobnie w niedługim czasie uruchomione na małą skalę (przyjmować będzie kilkanaście osób na kilka dni), gdyż niema środków na to, aby stworzyć większą instytucję opieki doraźnej.

CZECHOSŁOWACJA

Walne zebranie Zw. Studentów Polskich w Bernie

W dniu 27. października r. b. odbyło się walne zebranie Związku Studentów Polaków w Bernie. Związek liczy obecnie 58 członków, z czego 12 z Polski, 16 z Litwy, 30 ze Śląska. Związek położył sobie za zadanie skonsolidowanie członków swoich, pochodzących z tak różnych terenów, oraz godne reprezentowanie polskości w Bernie. Związek zdołał sobie uzyskać dobrą renomę wśród społeczeństwa czeskiego, a to przedewszystkiem dzięki chórowi, który roztoczył jaknajszerszą działalność. Wielkie zasługi położył dla rozwoju chóru jego dyrygent, Bronisław Kohut, który cały ogrom poświęcenia i samozaparcia wkładał w pracę nad podniesieniem poziomu chóru. Pełne uznanie należy się również członkom chóru, którzy, mimo nawału pracy naukowej, poświęcali drogi czas dla pracy chórowej.

Również sekcja propagandy i prasy może się pochlubić owocną pracą. Ustępujący jej kierownik, p. Kwaśnicki, zdołał w paroletniej swej działalności zapoznać drogą odczytów i pogadanek najszersze warstwy społeczeństwa czeskiego — jak w Bernie, tak i na prowincji — z najżywotniejszemi problemami dzisiejszej Polski.

Związek współpracował również ze wszystkimi związkami słowiańskimi w Bernie. Zakładający się obecnie Akademicki Związek Wszechsłowiański będzie miał za zadanie utworzenie silnego akademickiego bloku słowiańskiego, którego celem będzie zespolenie całej słowiańskiej młodej inteligencji, studjującej w Bernie.

W skład nowego zarządu, wybranego na walnem zebraniu, weszli: prezes — Wardas Józef, wiceprezes — Rzewuski Jerzy, sekretarz — Łukoszówna Walerja, skarbnik — Zuczek Rudolf, bibljotekarz — Stebel Franciszek, kierownik sekcji propagandy i prasy — Wardas Józef, kierownik sekcji chóru — Zuczek Rudolf, kierownik sekcji sportowej — Waliczek Jan.

ŁOTWA

Teatr Polski w Łotwie

Teatr Polski w Łotwie w dniu 9. XI. rozpoczyna nowy sezon swej pracy. Warunki i możliwości pogorszyły się radykalnie, mimo to teatr chce walczyć i przetrwać kryzys oraz odrębne stosunki. Społeczeństwo nasze zaznajamia się przez Teatr Polski z repertuarem klasycznym i współczesnym polskim, a również i z utworami scenicznemi autorów łotewskich. Teatr Polski chce i nadal

W chwili gdy mieliśmy na ukończeniu zeszyt 3-ci, nadszedł do naszej redakcji b. bogaty materjał fotograficzny z Południowej Ameryki. Oprócz tego wielkie bogactwo materjału fotograficznego łaskawie nadesłała nam Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy z pobytu p. marszałka Raczkiewicza w Południowej Ameryce. Naszym Czytelnikom znów zrobimy niespodziankę wielkiem bogactwem aktualnego materjału.

służyć szerokim warstwom Polaków, jako przyczynek niezbędny w rozwoju życia kulturalnego.

Na pierwszym występie 2. b. m. w lokalu rosyjskiego dramatu odegrano 3 aktową krotochwilę Grzymały Siedleckiego pod tytułem „Sublokatorka".

RUMUNJA

Otwarcie roku harcerskiego w Czerniowcach

Miłą niespodziankę sprawił hufiec harcerski imien. Marszałka Józefa Piłsudskiego, otwierając uroczyście nowy rok harcerski. Po wysłuchaniu mszy św. w kościele parafjalnym, młodzież udała się do izb harcerskich, których poświęcenia dokonał ks. kan. Jakubowski. Święcąc sztandar, w pięknem przemówieniu ks. Jakubowski podniósł znaczenie ruchu harcerskiego, głoszącego ideały piękna i dobra, kończąc okrzykiem na cześć Pierwszego Harcerza Rumunji, JKMości Karola II. Następnie zabrał głos profesor Gramatovici, który w imieniu harcerstwa rumuńskiego złożył po rumuńsku i po polsku serdeczne życzenia hufcowi polskiemu pomyślnego rozwoju.

Pozatem harcerstwo rumuńskie było reprezentowane przez pp. profesorów Ratiu, profesora Botezat i delegacje drużyn ze sztandarem.

Oprócz wspomnianych przybyli na uroczystość pp. Skibniewski z Hliboki, Bohosiewicz (P. Z. S.), prezes Haque (Patronat harcerski), dyr gimn. P Z. S. Szymonowicz, Więcławski, sekretarz Związku Stowarzyszeń Polskich, Stocker, kierownik „Lotu", redaktor Knauff etc.

Po przemówieniach odbyła się wspólna defilada harcerzy rumuńskich i polskich.

Wieczorem górna sala „Domu Polskiego" zapełniła się szczelnie delegatami instytucyj polskich, rodzicami młodzieży oraz niezmiernie licznie przybyłą publicznością. Uroczystość wieczorną zaszczycili swą obecnością pp. konsulostwo R P. Uzdowscy oraz attaché p. Strzałecki z małżonką.

W imieniu komendy hufca gości powitał druh Urbański, apelując do starszego społeczeństwa o współpracę z harcerstwem oraz stwierdzając, że harcerze polscy w Rumunji pragną iść śladami Tego, którego imię widnieje na sztandarze hufca — Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zwracając się do gości rumuńskich, podkreślił szczerą i serdeczną współpracę, łączącą harcerzy polskich i rumuńskich, współpracę, która służy sprawie zbliżenia dwóch bratnich narodów. Obszerne sprawozdanie — do którego jeszcze powrócimy na łamach naszego pisma — z pracy harcerskiej w roku ubiegłym złożył druh Stebelski, poczem złożył życzenia prof. Ratiu, kończąc je okrzykiem na cześć Polski.

Na dalsze punkty programu złożyły się popisy gromady zuchowej: dziarski krakowiak i bardzo ładnie zainscenizowany taniec krasnoludków oraz fragmenty ze „Ślubów panieńskich" Fredry.

Na zakończenie odbyła się harcerska zabawa taneczna z udziałem starszej młodzieży.

FRANCJA

Utworzenie Komitetu Związku Towarzystw Polskich

Dnia 5. XI. odbył się w Douai zjazd prezesów Komitetów polskich towarzystw miejscowych (lokalnych) na terenie Francji.

W skład komitetów wchodzą różne towarzystwa lokalne, znajdujące się w każdej, tak zwanej kolonji polskiej (skupieniu emigracji polskiej). Komitety te mają bezpośredni wpływ na życie skupień wychodźczych i w sumie przedstawiają poważną siłę. Okazała się potrzeba utworzenia wspólnego związku tych komitetów, co zostało urzeczywistnione na wspomnianym wyżej zjeździe, na którym, na ogólną liczbę 60, reprezentowane były 42 komitety lokalne.

Zjazd uchwalił następującą rezolucję:

„Prezesi komitetowi, zebrani na zjeździe w Douai w dniu 5. listopada 1933 r., chyląc głowy przed sztandarem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i oddając cześć zaprzyjaźnionemu Narodowi Francuskiemu, uchwalają:

1. Powołać do życia Związek Komitetów Towarzystw Polskich we Francji, którego celem będzie zrzeszenie w swych ramach wszystkich komitetów towarzystw miejscowych, ożywienie współpracy lokalnej między towarzystwami oraz nadanie komitetom większego znaczenia w kolonjach i umożliwienie im, przez dostarczanie odczytów, referatów, przeźroczy i t. d., organizowania obchodów i uroczystości w kolonjach.

2. Przyjąć we wszystkich komitetach jednolite regulaminy, zgodne ze statutem i regulaminem Związku Komitetów.

3. Zachować dotychczasową samodzielność w pracy towarzystw i komitetów z równoczesnem respektowaniem uchwał zjazdu prezesów komitetowych i zarządzeń zarządu głównego Związku Komitetów Towarzystw Polskich we Francji.

4. Rozwinąć współpracę z innemi związkami przez wejście do Rady Porozumiewawczej i do poszczególnych komisyj Rady, na równych prawach z innemi związkami.

5. Zacieśnić kontakt komitetów przy pomocy własnego związku z urzędowemi placówkami polskiemi, ustosunkować się do tychże placówek najbardziej pozytywnie, służąc im pomocą i radą w sprawie potrzeb kolonji.

6. Zachować całkowitą bezstronność komitetów w stosunku do towarzystw miejscowych, w myśl zasady, że Polacy na obczyźnie, bez względu na przekonania, w sprawach ogólno-polskich winni stanowić jedną całość i jedną rodzinę duchową, połączoną więzami krwi, przestrzegając równocześnie, aby towarzystwa w obronie nawet słusznych interesów swych członków nie używały demagogicznych haseł, osłabiających przywiązanie i szacunek młodego pokolenia do Polski i do rządu polskiego.

W Związku i w Komitetach praca winna być prowadzona na zasadach kompletnej bezpartyjności i całkowitem respektowaniu każdego rządu w Polsce i we Francji, mając na celu poszanowanie dobrego imienia polskiego, dobro wychodźtwa i Polski".

NIEMCY

Prawdziwy pobratymiec Polaków

Jak donosi Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, obchodził w tych dniach w Lipsku 40-ty jubileusz zasłużony proboszcz św. Trójcy, Łużyczanin, ks. Jakób Stranz. Jubilat urodził się w r. 1869 w Żuricach, studjował w Budziszynie i w Pradze i zawsze życzliwie traktował potrzeby religijne Polaków, których jest serdecznym przyjacielem.

KANADA

Na wieść o rozpisaniu pożyczki Narodowej prezesi polskich organizacyj w Winnipeg zebrali się dla omówienia sprawy wzięcia udziału przez wychodźtwo polskie w Kanadzie w subskrypcji pożyczki.

Wobec nadejścia jednak wiadomości z kraju, iż Pożyczka Narodowa z wielką nadwyżką została już pokryta, zebrani doszli do przekonania, aby nie wszczynać akcji subskrybowania pożyczki tej przez wychodźtwo, dopóki nie wyjaśni się, czy sprawa ta jest jeszcze aktualna.

W każdym razie oddźwięk, jaki sprawa Pożyczki Narodowej znalazła wśród wychodźtwa w Kanadzie, świadczy o zrozumieniu przez nie żywotnych interesów Państwa Polskiego i zaufaniu do poczynań rządu.

Jak donoszą z Brandon (Kanada), w dniu 1. X. br. odbył się tu uroczysty obchód 250-letniej roczniey odsieczy Wiednia. Sama uroczystość, w której wzięły udział miejscowe stowarzyszenia polskie oraz konsul R. P. w Winnipegu, p. Pawlica, rozpoczęła się sumą i kazaniem ks. Łukasika. O godzinie 3-ciej pp. w sali Towarzystwa Polsko-Narodowego odbyła się uroczysta akademja. Należy nadmienić, iż uroczystość powyższa dała okazję do zespolenia istniejących tu towarzystw polskich oraz do założenia nowego Weteranów Armji Polskiej, które powierzono znanemu dzia[illegible]czowi społecznemu, p. Grabowskiemu.

W dniu 11. b. m, jako 15-lecie odzyskania niepodległości Polski, z inicjatywy Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich w Kanadzie otwarta została w Winnipeg przy Stowarzyszeniu Weteranów Armji Polskiej czytelnia i bibljoteka im. Marszałka Piłsudskiego.

Czytelnia ta jest jedyną tego rodzaju instytucją polską w Winnipeg, w którem zamieszkuje około 12 000 Polaków.

BRAZYLJA

Nowe placówki gospodarcze

Staraniem związku Zrzeszeń Polskich w Rio Grande do Sul w Brazylji został ukonstytuowany Związek Kupców Pol-

Zarząd Główny Tow. Czytelni Ludowych w Poznaniu, na czele którego stoi Ks. Dr. Karol Milik, w okólniku z dnia 4 listopada 1933 r., skierowanym do wszystkich swoich Komitetów na terenie wojew. śląskiego, poznańskiego i pomorskiego pod nagłówkiem Czasopismo „Polacy w całym świecie" pisze:

„Redakcja czasopisma „Polacy w całym świecie zwróciła się do Zarządu Głównego o zachęcenie Komitetów do zaabonowania tego czasopisma. Jest to czasopismo ilustrowane, którego numery okazowe wnet nadejdą do Komitetów.

Zarząd Główny sądzi, że zdobędzie sobie ono swemi ilustracjami i omawianemi aktualnemi tematami zainteresowanie naszych czytelników i wartoby je zaabonować. — Adres Redakcji i Administracji: Królewska Huta G. Śląsk, ulica Hajducka nr. 15".



Z życia kolonistów polskich w Misiones

Na lewo:
Domek gotowy — komin dymi...

U dołu:
Piec chlebowy postawiony...



skich. Nowopowstały Związek postawił sobie za zadanie zorganizowanie kupiectwa polskiego z zasięgiem swej działalności na Rio Grande do Sul. Związek w najbliższym czasie ma zamiar nawiązać stały kontakt handlowy z Polską. Skład zarządu Związku stanowią: prezes — p. Zygmunt Przedmolski, wiceprezes — p. Roman Skorupski, skarbnik — p. Ludwik Jung, sekretarz — p. Antoni Gajewski.

Związek Kupców jest członkiem Związku Zrzeszeń Polskich oraz korzysta z jego lokalu w Porto Alegre; adres: Porto Alegre — Rio Grande do Sul — Brasil, Caixa postal 757.

Jednocześnie możemy zakomunikować powstanie na terenie Kanady Związku Polskich Przemysłowców, Kupców i Rękodzielników w Winnipegu. Na zebraniu konstytucyjnem Związku został przyjęty statut oraz obrano prezydjum i wydział Związku.

W skład prezydjum weszli: jako prezes — p. Białuski — właściciel wytwórni mebli koszykowych w Winnipegu, jako wiceprezes — p. Grabowski — właściciel restauracji i kawiarni w Winnipegu, jako drugi wiceprezes — p. Stark — właściciel farbiarni i pralni chemicznej w Winnipegu, jako sekretarz p. — Leon Garczyński, jako kasjer — p. Rumiński — właściciel zakładu obuwniczego.

Narazie zgłosiło się do Związku około 30 firm, należących do wybitniejszych reprezentantów polskiego przemysłu, kupiectwa i rękodzieła.

PIEKŁO POLAKÓW NA KUBIE

Niedaleko wybrzeży Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. leży piękna wyspa Kuba. Po wypędzeniu Hiszpanów w r. 1898 kraina ta zażywała szczęścia i dobrobytu. Ludność jej, licząca wówczas 1 1/2 miljona mieszkańców, podniosła się w r. 1932 do 4 miljonów. Tam, gdzie ongiś rosły gęste puszcze dziewicze, rozciągają się obecnie wspaniałe plantacje cukru, zaopatrujące liczne narody w ten słodki artykuł spożywczy.

Gorący klimat Kuby uniemożliwia osiedlanie się ludzi naszej rasy. Tylko Hiszpanie, Portugalczycy i murzyni afrykańscy — przywykli do skwarów tropikalnych — mogą pracować pod upałnem niebem tej wyspy. To też w okresie, kiedy Stany Zjednoczone otwarte były dla emigracji, rodacy nasi omijali Kubę, kierując się do Unji północno-amerykańskiej.

Po wojnie sytuacja uległa zmianie. Liczni emigranci polscy przyjeżdżali na Kubę nie w zamiarze osiedlenia się tam, lecz dlatego, by przy lada korzystnej sposobności przekraść się stamtąd do Stanów Zjednoczonych. Przekradanie to jednak odbywało się z licznemi przeszkodami i niejednokrotnie miało tragiczny finał.

Statki, przemycające emigrantów z Kuby na ziemię Waszyngtona, były ścigane przez strażniczą flotę amerykańską. Bywały wypadki, że przemytnicy, nie mogąc dotrzeć do wybrzeży Stanów Zjednoczonych, wysadzali ich na bezludnych wysepkach, gdzie marli z głodu, lub poprostu wrzucali ich do morza.

Dziennikarz hiszpański Lino Novas Carlos tak opisywał podobną historję na łamach pisma „Lur":

„Na Kubie było wielu emigrantów, którzy przybyli zwłaszcza z Europy Srodkowej. Oczekując na sposobność przeprawienia się do Ameryki, trudnili się wszelkiego rodzaju handlem domokrążnym. Sprzedawali krawaty, lusterka i t. p. towary. Wkrótce znani byli wszędzie pod nazwą ogólną „polacos" albo „eskimo pies" (sroki eskimoskie). Niektórym udało się wsiąść na okręt.



W poprzednim zeszycie zamieściliśmy życiorys ministra Stanisława Patka, jego portret i gmach ambasady Rzplitej w Waszyngtonie. Dziś zamieszczamy inne nadesłane nam zdjęcie. W środku min. Patek, ambasador Rzplitej w Waszyngtonie, z prawej strony Józef Mościcki, sekretarz ambasady, z lewej Władysław Sokołowski, radca ambasady.

Kapitanowie tych statków przemytniczych żądali za przewiezienie ich do Florydy 300, 400, a nawet 500 dolarów i otrzymywali tę sumę. -Ta możliwość była zachętą dla innych emigrantów, przebywających na Kubie. Żaglowce rybackie, na których wyjeżdżali, przypominały wieżę Babel. Mówiono na nich wszystkimi językami.

Straż nadbrzeżna otrzymała rozkaz, aby zaostrzyć czujność. Udało się kilka razy schwytać przemytników. Tysiące emigrantów wskutek tego wróciło do Europy, nie dostawszy się do ziemi obiecanej. Atoli ich upór nie osłabł. Emigranci wsiadali potajemnie na statki rybackie, które odchodziły z Hawanny próżne, niby na połów, a po drodze, przybiwszy gdzieś do jakiegoś ustronnego wybrzeża, zabierały oczekujących już emigrantów i to zwykle pod osłoną nocy. Atoli ryzyko było niemałe. — Można było stracić statek, zatopiony kulami amerykańskiemi, jak to już się kilka razy zdarzyło. Ale z drugiej strony sposobność zarobienia 500 dolarów na głowę i to od jakich 200 lub 300 emigrantów naraz, to też gratka nie do pogardzenia. Stąd powstała tragedja. Najbojaźliwsi wrócili do rybołóstwa, inni — zuchwalsi — wymyślili coś innego.

W r. 1926 przybyłem do Matansas z próżnym żołądkiem i obolałemi nogami w poszukiwaniu pracy. Znalazłem ją. Pewna grupa węglarzy, mająca 8-miesięczne kontrakty, wyjechała na małą wysepkę, zwaną „Piedras Chico" o 24 godzin jazdy okrętem od Kuby. Liczne jeziorka tej wyspy roją się od kajmanów, które nocą chętnie wyłażą, aby polować na śpiących na lądzie ludzi. — Ażeby im w tem przeszkodzić, należy utrzymywać zawsze zapalone ogniska, a moje zadanie właśnie polegało na pilnowaniu ognia. Co tydzień przyjeżdżał żaglowiec, przywożący nam wodę i produkty spożywcze. Statek ten zawijał tylko w dzień.

Otóż pewnej księżycowej nocy na cichych wodach pokazały się żółtawe blaski żagla. Jeden z naszych psów zaczął szczekać. Okręt! Wszyscy skoczyli na równe nogi. Straż pochwyciła strzelby.

Nie był to nasz statek. Zbliżył się on, zarzucił kotwicę i wówczas ujrzeliśmy w brzasku dnia masę ludzi brodatych, nędzne kobiety i wycieńczone dzieci. Nasz dowódca wysłał ku nim barkę z uzbrojonymi ludźmi. Na tej barce przewieziono 5 ludzi z okrętu a m. in. też ich starszego. Był to Portugalczyk. Tamci należeli do innych narodowości. Dwuch miało rany na twarzy i ramionach. Sam „wódz" miał głowę obwiązaną.

— Chcieli nas rzucić na pożarcie rekinom, tymczasem rekiny ich zjadły — rzekł Portugalczyk, szczerząc zęby. Czterej inni kiwali głową. My węglarze siedzieliśmy dookoła nich, nieco dalej ze strzelbami czuwała straż.

— Zwykle to tak było — opowiadał nam przywódca: emigranci spali na pokładzie, na ogromnej macie, sporządzonej ze sznurów, pod którą były umieszczone stare sieci. Gdy statek ostatecznie już oddalił się od wybrzeży Kuby, a był jednak dość daleko jeszcze od Florydy, załoga czekała na moment, kiedy emigranci zapadną w głęboki sen. Sen ułatwiano im jeszcze za pomocą dodawania do potraw środka nasennego. Zwykłe zatrucie uważano za niebezpieczne, gdyż wszyscy naraz nie jedli, co przyczyniłoby się do wykrycia zamachu. Tym, którzy się oparli działaniom środka nasennego, wystarczyło uderzenie pałką po głowie, aby nie krzyczeli w krytycznej chwili.

Na dany znak puszczono w ruch dźwigi i cała sieć, na której znajdowała się mata z podróżnymi, szła w górę. Gdy już była nad wodą, strącono śpiących, jak ulęgałki, do morza. Rekiny, które towarzyszyły okrętowi, wiedziały dobrze jaka ich czeka uczta. Nędznicy unikali w ten sposób spotkania z policją morską i tanim kosztem pozbywali się swych podróżnych. Umarli milczą. Wiedzieli zresztą co to za statek i kto nim dowodzi.

Portugalczyk całkiem przypadkowo wykrył ten nędzny plan. Zauważywszy, że żaglowiec płynie na wschód, a nie na północ, chciał stanąć przy sterze, przypuszczając, że sternik się myli. Na to mu odpowiedziano:

(Dokończenie nastąpi.)



Lasy w okolicach Nieświeża w woj. nowogrodzkiem



Kobiety na Polesiu

W tym zeszycie rozpoczynamy druk pracy redaktora Alojzego Macha z Katowic p. t. „Kresy Wschodnie a Górny Śląsk". Przebywając w ciągu 11 miesięcy na Kresach Wschodnich, autor zebrał bagaty materjał na miejscu za pośrednictwem własnych spostrzeżeń i konferencyj z osobami najbardziej w kwestjach kresowych oznajomionemi, bo albo tam urodzonemi, albo tam od lat przebywającemi.

Że praca Alojzego Macha wyczerpuje temat ze znajomością rzeczy i bez cech powierzchowności, najlepiej o tem świadczy opinja wybitnego Kresowiaka Kuratora Okręgu Szkolnego Wołyńskiego, p. K. Szelągowskiego z Równego, obecnie Kuratora Okręgu Szkolnego Wileńskiego. Pan Kurator Szelągowski, po zapoznaniu się z rękopisem niniejszej pracy, napisał co następuje:

„Przeczytałem pracę Pana i potwierdzam to, co pisałem w poprzednim liście, że inicjatywę Pańską uważam za czyn państwowy. Cała działalność Pana jako odczytowca na Kresach i publikacja obecna bezwątpienia przyczyni się — przez obudzenie zainteresowania i poznania przez Polaków zachodnich jednego z najważniejszych zagadnień państwowych sprawy Kresów Wschodnich — do zcementowania naszej Ojczyzny i do obudzenia poczucia państwowego w szerokich masach obywateli Kresów Wschodnich. Głos Pana, mówiącego o wschodnich ziemiach Polski z uczuciem sympatji i zrozumieniem pewnych swoistych cech tutejszego terenu, będzie mile przyjęty u nas — na całej przestrzeni Kresów Wschodnich. Chętnie też przyczynię się do rozpowszechnienia publikacji na tutejszym terenie".

Niemniej życzliwie niniejsza publikacja zapewne będzie przyjęta na Wileńszczyźnie, skoro zapowiedź odczytów Alojzego Macha na temat Górnego Śląska w Wilnie, ówczesny wojewoda wileński, p. Władysław Raczkiewicz, obecny Marszałek Senatu i Prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, powitał następującą dedykacją:

„Witam z uznaniem podjętą pracę nad wzmocnieniem więzi łączących wschodnie i zachodnie rubieże Polski Ziemię Wileńską i Górny Śląsk."

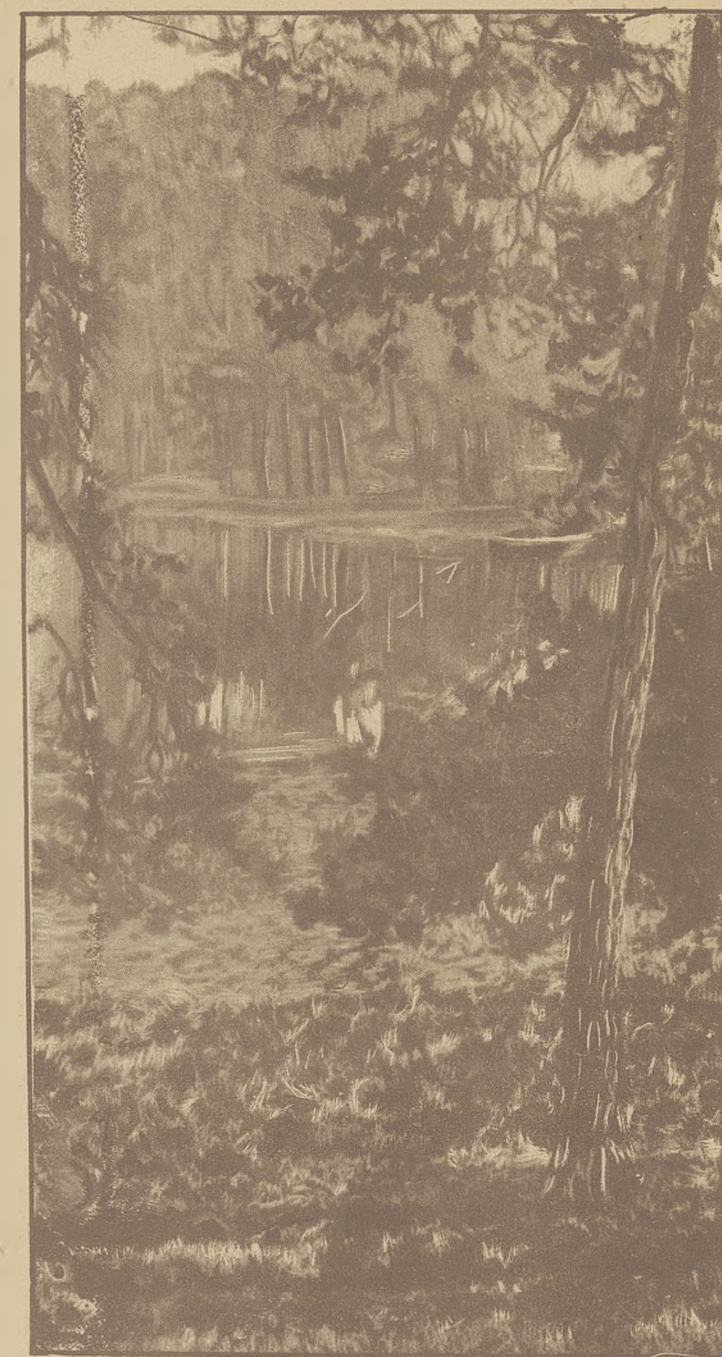
Autograf zamieszczamy na dalszych stronicach.

To też nie wątpimy, że zagadnienie Kresów Wschodnich zainteresuje szerokie koła społeczeństwa polskiego na terenie całej Rzeczypospolitej, tak na wschodnich jak i zachodnich jej rubieżach, a niejednemu z naszych rodaków na Obczyźnie publikacja ta — zwłaszcza jej bogate ilustracje — przypomni strony rodzinne.

Nadmieniamy, że publikacja „Kresy Wschodnie a Górny Śląsk" ukazywać się będzie kolejno w 12 zeszytach i zawsze będzie bardzo bogato ilustrowana.



Chata w okolicach Równego



Lasy Liceum Krzemienieckiego w Białokrynicy



Krajobraz z okolic Włodzimierza Wołyńskiego



Poleszuk i żyd poleski



Krajobraz wołyński z okolic Łucka

Alojzy Mach — Katowice

Kresy Wschodnie a Górny Śląsk

Ignorancja...

Naogół Kresy Wschodnie — jak i to wszystko, co jest na wschód położone — nie cieszą się ani na Śląsku, ani w całym b. zaborze pruskim wielką sympatją, ani zrozumieniem. Wytworzono takie nastroje, że ludność polska na Górnym Śląsku, jak i w całym b. zaborze pruskim, ku wschodnim ziemiom Polski nie ciąży. Wschodnie ziemie Polski są czemś odrażającem, synonimem zaniedbania ekonomicznego i kulturalnego. Wytworzono tu takie nastroje, że każdy, kto ma „anzug" trochę lepszy od Poleszuka i nie ma łapci na nogach, może sobie dziób wycierać „wschodem", zwłaszcza Kresami Wschodniemi. Podkreślam — wytworzono tego rodzaju nastroje szczególnie na Śląsku, wytworzono je sztucznie, gdy okazało się, że są one potrzebne dla pewnych bankrutów politycznych, dla których robienie wielkiej polityki w Warszawie stało się niemożliwe. Chcąc więc utrzymać się na powierzchni życia politycznego chociaż na Śląsku, chcieliby Śląsk zasklepić w sobie, zamknąć go we własnej skorupie...

Temat mój „*Kresy Wschodnie a Górny Śląsk*" sympatycznym dla wielu polityków na Śląsku — i wogóle w b. zab. pruskim — nie będzie, niemniej jednak będzie ciekawy i interesujący oczywiście dla ogółu.

Upłynęło 11 lat od przyłączenia Górnego Śląska do Polski, ale dla zaznajomienia ludności z Kresami Wschodniemi kompletnie nic nie zrobiono. Gdy Śląsk w czasach dobrej konjunktury tętnił życiem i chmury czarnego dymu przysłaniały horyzont śląski, ktoby wówczas pisał, mówił lub myślał o wschodzie, o Kresach Wschodnich!?! Trzeba było odwagi, by wspomnieć wówczas o wschodnich ziemiach Polski na Śląsku... Gdy kryzys gospodarczy, oraz proberlińska polityka wielu „kapitanów" przemysłu górnośląskiego, poczęły zamykać warsztaty pracy ludu polskiego na Śląsku i wyrzucać na bruk, pozbawiajac pracy i chleba dziesiątki tysięcy robotników, były chwile, że opinja publiczna poczęła swe oczy zwracać ku wschodnim ziemiom Polski. Znalazł się jeden odważny mąż na Śląsku, p. Czesław Wieniawa-Chmielewski, poseł na Sejm Śląski, który przed dwu laty na łamach katowickiej „Polonji" począł roztrząsać problem bezrobocia na Śląsku w związku... z osuszaniem Polesia. Tym sposobem, po raz pierwszy od połączenia Górnego Śląska z Polską, poczęły się ukazywać w prasie na Śląsku artykuły na temat Kresów Wschodnich i Polesia. Po kilku artykułach zamilkł jednak odważny mąż, pan Czesław Wieniawa-Chmielewski, gdy socjaliści na Śląsku w swojej prasie narobili hałasu, że p. Chmielewski — „przybłęda z Ukrainy" — chce wysyłać bezrobotnych Ślązaków na błota poleskie. Od tego czasu zamarł temat o wschodnich ziemiach Polski na Śląsku i nikt go już nie rusza.

Niedawno jeden z wybitnych polityków śląskich na wiecu w Pszczynie poruszył tematy wschodnie, ale w tym sensie, że gdy Śląsk się krwawił i walczył o swoje wyzwolenie, ludzie ze wschodu obsiedli całe pogranicze i niecierpliwie na swoich drewnianych kuferkach czekali, kiedy będą mogli wkroczyć na Śląsk... i zająć tu posady.

W tym sensie mówi się jeszcze o „wschodzie", o wschodnich ziemiach Polski, gdy oficjalnie mamy 100.000 bezrobotnych na Śląsku, a nieoficjalna cyfra oczywiście jest o wiele wyższa!?!

Ja zaryzykuję twierdzenie i potrafię je udowodnić na dalszych kartkach tej publikacji, że bezrobocie na Śląsk sprowadził nam nietylko światowy kryzys gospodarczy, *ale przedewszystkiem brak zrozumienia dla roli, jaką wobec Śląska miały do odegrania wschodnie ziemie Polski.* Jak podkreśliłem, na Śląsku stwarzano tylko sztucznie najgorsze nastroje dla „wschodu", dla wschodnich ziem Polski, ale dla poznania tych ziem i dla zaznajomienia ogółu z zagadnieniem Kresów Wschodnich absolutnie nic nie zrobiono. *Dla sfer gospodarczych zagadnienie to również prawie nie istniało.*

Kobiety wołyńskie z okolic Ostroga n/Horyniem



Pierwsza jaskółka...

Po raz pierwszy — po 11 latach od przyłączenia Górnego Śląska do Polski — w sierpniu 1933 roku czytaliśmy w jednem z pism na Śląsku komunikat, że przyjechała na Śląsk z Wilna delegacja Izby Przemysłowo-Handlowej na czele z p. prezesem Rucińskim z inicjatywą powołania do życia *Międzyizbowego Komitetu współpracy nad podniesieniem stanu gospodarczego ziem północno-wschodnich.* Z komu-



Ogólny widok Wilna

nikatu prasowego dowiedzieliśmy się, że pod przewodnictwem p. inż. Ciszewskiego, generalnego dyrektora Zakładów Hohenlohego i prezesa Unji Przemysłu Górniczo-Hutniczego, w katowickiej Izbie Handlowej, z inicjatywy i z okazji przyjazdu delegacji wileńskiej Izby Przemysłowo - Handlowej, odbyła się konferencja. W konferencji tej wzięli udział, oprócz delegacji wileńskiej: Min. Grodziecki, generalny dyrektor Syndykatu Polskich Hut Żelaznych, dr. Szczepański, generalny dyrektor Biura sprzedaży blachy cynkowej, p. Zdanowski, dyrektor Konwencji Węglowej, dr. Mierzejewski, generalny dyrektor Biura sprzedaży kwasu siarczanego, p. Maciej Krzymuski, propagandzista Syndykatu Polskich Hut Żelaznych, oraz p. M. Drozdowski, dyrektor Izby Handlowej w Katowicach.

Po wysłuchaniu referatu delegata wileńskiej Izby Przemysłowo - Handlowej na temat podniesienia stanu gospodarczego ziem północno-wschodnich, zebrani jednomyślnie uznali za celowe podjęcie ze strony przemysłu i organizacyj przemysłowych inicjatywy w kierunku *zwiększenia(!) konsumcji(!) polskich(!) produktów(!) przemysłowych(!) na(!) terenie(!) ziem północno-wschodnich(!).*

W celu zebrania materjału, obrazującego potrzeby tych ziem, oraz w celu przeprowadzenia akcji ze strony poszczególnych działów przemysłu w kierunku wzmożenia zbytu produkowanych przez nie wyrobów na kresach północno - wschodnich, postanowiono powołać do życia specjalną *Komisję dla prac nad podniesieniem stanu gospodarczego ziem północno - wschodnich.*

W ten sposób — mówi dalej komunikat — *powstała inicjatywa sfer przemysłowych Górnego Śląska, oraz sfer handlowych ziem północno-wschodnich, która niewątpliwie przyczyni się z jednej strony do podniesienia stanu gospodarczego ziem północno - wschodnich, z drugiej zaś strony powiększy pojemność tego rynku zbytu w interesie przemysłu.*

Po 11 latach od przyłączenia Górnego Śląska do Polski, dnia 10. sierpnia 1933 r. powołano do życia *Komisję dla prac nad podniesieniem stanu gospodarczego ziem północno-wschodnich*, oczywiście z inicjatywy „ludzi ze wschodu". Górny Śląsk na podobną inicjatywę nie zdobył się...

Niewiadomo, ile posiedzeń od tego czasu odbyła owa Komisja, bo dalszych komunikatów nikt jeszcze nie czytał i nie widział.

Przeciw naturze...

Objeżdżając z odczytami propagandowymi na temat Śląska w ciągu 11 miesięcy Kresy Wschodnie — wzdłuż i wszerz — zgromadziłem materjały, które zamieszczam obecnie w tej publikacji. Nie są to materjały stare, skoro zagadnienie Kresów Wschodnich jest tak po macoszemu traktowane, że nikt o nim ani mówić, ani pisać nie chce. Jest to temat zupełnie świeży.

Nie dziwię się, że inicjatywa do nawiązania kontaktu gospodarczego między Kresami Wschodniemi i Górnym Śląskiem wyłoniła się na Kresach w roku 1933, bo w czasie swego objazdu miast kresowych wśród wszystkich czynników tak społecznych jak i państwowych obserwowałem najżywsze i największe sympatje dla Górnego Śląska.

„Witam z uznaniem podjętą pracę nad wzmocnieniem więzi, łączących wschodnie i zachodnie rubieże Polski — Ziemię Wileńską i Górny Śląsk" — oto treść autografu, umieszczonego w mojej księdze pamiątkowej.



Grodno — Spław drzewa na Niemnie



Krajobraz z okolic Brześcia n/Bugiem

przez ówczesnego wojewodę wileńskiego, p. Władysława Raczkiewicza, obecnego Marszałka Senatu i Prezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy.

„Niech poznanie zachodniej kresowej ziemi z jej bogactwem i potęgą pracy przez tutejszą młodzież przyczyni się do ugruntowania poczucia jedności państwa i zrozumienia jego siły i znaczenia“ — wpisał mi znów ówczesny Kurator Okręgu Szkolnego Wołyńskiego, p. K. Szelągowski, obecny Kurator Okręgu Szkolnego Wileńskiego.

Zrozumienie więc dla zagadnienia śląskiego było wielkie na Kresach Wschodnich od lat, sympatje dla



Kościół św Anny w Wilnie

ziem zachodnich Polski ogromne, ale na Śląsku dla Kresów Wschodnich naogół ani zrozumienia, ani sympatji nie było. Nie przesadzę więc, gdy powiem, że kryzys gospodarczy nigdyby się nie wżarł był tak głęboko w skórę Górnego Śląska, gdyby wzrok ludu polskiego na Śląsku był skierowany ku wschodowi, ku wschodnim ziemiom Polski. Demagodzy polityczni, którzy utracili wpływy w Warszawie, chcieli Śląsk jak ślimaka zamknąć w swej skorupie i sztucznie wywoływali nastroje, by wzrok ludu polskiego na Śląsku odwrócić od wschodu, od wschodnich ziem Polski, a właściwie od Polski. Była to robota nędzna, poprostu zadawano gwałt naturze.

Wiadomą jest rzeczą, że Śląsk w znaczeniu politycznem i kulturalnem był odcięty przez wieki od pnia macierzystego, ale gospodarczo — mimo kordonów granicznych i barjery celnej — był bardzo silnie związany ze „wschodem“, z Polską, z Kresami Wschodniemi. Natura — powiada przysłowie — *ciągnie wilka do lasu. To, co w wilku nazywamy naturą, taka sama siła ciągnęła Śląsk ku wschodowi.* Kto wytwarzał wobec tego naturalnego ciążenia nieprzychylne nastroje, ten popełniał gwałt na naturze, tego robota była zbrodniczą.

Kresy Wschodnie w marzeniach przemysłowców niemieckich...

Trzeba powiedzieć otwarcie, że Niemcy większe zawsze przejawiali zrozumienie dla zagadnienia wschodniego, niż najmędrsi Ślązacy, uważający się za Polaków i wodzów ludu śląskiego. Demagodzy polityczni siali i sieją uprzedzenia do wschodu, *tymczasem podczas wojny światowej sfery gospodarcze górnośląskie w 7 memorjałach poufnych przekonywały kanclerza Bethmana-Hollwega, jak bardzo potrzebna jest Śląskowi Polska.* Wprawdzie stawiano w nich kwestję odwrotnie, żądano przyłączenia wschodu do Górnego Śląska, aby mieć „hinterland“ dla jego produkcji i pomost, po któremby można dotrzeć do olbrzymich obszarów Kresów Wschodnich.

W jakim stopniu niemieccy przemysłowcy górnośląscy oceniali *doniosłość tej łączności gospodarczej Śląska ze „wschodem“*, świadczą np. liczne memorjały opolskiej Izby Handlowej do kanclerza Rzeszy. W jednym z nich z lipca 1915 r. czytamy:

„Wobec niekorzystnego położenia okręgu przemysłowego Śląska, wschód jest i będzie dla tego ostatniego czynnikiem rozwoju najważniejszym i absolutnie niezbędnym“.

A w innym memorjale tej samej Izby Handlowej z dnia 24. września 1916 r. znajdujemy między innemi następujące wywody:

„Na pierwszem miejscu wyrażamy pragnienie wyzwolenia wreszcie Górnego Śląska z tego otoczenia i skrępowania, (Einschnürung) na jakie skazuje go położenie geograficzne i polityczne. To skrępowanie jest źródłem wszystkich skarg wychodzących z naszego okręgu... Jest rzeczą oczywistą, że wywóz do Austrji i Węgier nie będzie mógł nigdy zastąpić dla Śląska i całego przemysłu niemieckiego wywozu bardzo znacznego na wschód Polski, połaci kraju bardzo zacofanej pod względem postępów technicznych. Dlatego też pozwalamy sobie zwrócić specjalną uwagę na ten punkt naszego memorjału gdzie traktowana jest szczegółowo kwestja stosunku, istniejącego zawsze między handlem i przemysłem Górnego Śląska i Polską rosyjską. Przyszłość zależy od sposobu, w jaki będą ustalone stosunki z Polską rosyjską, to też w naturalnej konsekwencji tych ścisłych stosunków z Polską rosyjską wyrażamy w obecnym memorjale pragnienie ujrzenia tego kraju połączonego z Niemcami pod względem gospodarczym lub przynajmniej połączenia z Niemcami części wschodniej, która sąsiaduje ze Śląskiem.“

Trudno być bardziej kategorycznym odnośnie do zagadnienia, które nas interesuje. Położenie się tylko o tyle zmieniło, w porównaniu do roku 1916, gdy cytowany memorjał był napisany, że nastąpiło przyłączenie Górnego Śląska do „wschodu“, a nie odwrotnie, jak tego pragnęli niemieccy potentaci przemysłowi z Bytomia, Katowic, czy Opola.

Dowodzenia ich i świadectwo jednak nic nie traci na swej sile przekonywującej.

Od chwili połączenia Śląska z Macierzą, trzeba było całą energję i wszystkie siły zwrócić na wschód, starać się o powiększenie konsumcji produktów przemysłowych Górnego Śląska na rynku krajowym. Zwłaszcza Kresy Wschodnie są terenem wielkich możliwości gospodarczych. Zamiast te możliwości gospodarcze wykorzystać, powiększać pojemność rynku wewnętrznego, zapewnić pracę i chleb tysięcznym rzeszom robotniczym, demagodzy polityczni siali separatyzm i uprzedzenia do wschodu. Pragnęli zasklepić Śląsk jak ślimaka w skorupie... Spóźniliśmy się o całe 11 lat... Dziś wśród powszechnego zubożenia ludności rolniczej trudniej myśleć o pogłębianiu konsumcji na rynku krajowym... Kiedy była konjunktura, nie myślało się o tem, bo na Śląsku była dobra konjunktura, Śląsk huczał i dymił...

Oto mój wstęp do tematu *„Kresy Wschodnie a Górny Śląsk.“*

Po raz pierwszy na Kresach...

Gdy w roku 1925 rozpoczynałem objazdy miast polskich z odczytami na temat Górnego Śląska, wcale nie myślałem, że zajadę i na Kresy Wschodnie. Dopiero w marcu 1927 r. — po zapoznaniu się z Małopolską Wschodnią, terenem niezmiernie ciekawym, a pod względem stosunków narodowościowych bardzo skomplikowanym — w przekonaniu, że teraz mogę się obracać wśród stosunków kresowych, potrafię się w nich orjentować i do nich dopasować, zajechałem do Łucka, stolicy Wołynia.

Uderzył mnie nietylko odmienny charakter miasta w porównaniu z miastami Małopolski Wschodniej, nietylko odmienność typów ludzkich, — rozpoczynając od tragarza, dorożkarza, hotelarza czy restauratora —



Baszta zamkowa książąt Ostrogskich z XVI w. w Ostrogu n/Horyniem

Reprodukcja obrazu art.-mal. W. Żółtowskiego, prof. gimn. państw. w Ostrogu



Ostra Brama w Wilnie

Witam z uznaniem podjętą pracę nad wzmocnieniem więzi łączących wschodnie i zachodnie rubieże Polski — Kresy Wschodnie i Górny Śląsk

Wł. Raczkiewicz
Wojewoda Wileński

Wilno
25/XI 27



Autograf, zamieszczony w księdze pamiątkowej prelegenta przez p. marszałka Raczkiewicza, ówczesnego wojewodę wileńskiego. Publikacja niniejsza ma również na celu wzmocnienie więzi, jakie powinny łączyć wschodnie i zachodnie rubieże Polski — Kresy Wschodnie i Górny Śląsk

ale na każdym kroku odczuwałem, iż jestem na terenie, który żyje życiem innem, niż ziemie zachodnie Polski.

Gdybym przebywał tu jako przedstawiciel jakiegoś przedsiębiorstwa handlowego, te wszystkie odrębności wieleby mnie nie interesowały i wielu różnic możebym nawet nie dostrzegał. Tymczasem przyjechałem na ten teren, by wygłaszać przemówienia na temat Górnego Śląska. Rozumiałem, że jeśli pracę swą wesprę wyłącznie o społeczeństwo polskie, bardzo prędko ona musi się skończyć na Wołyniu, bo przecież jest tu tylko 16% Polaków.

Gdy znalazłem się wśród miejscowych czynników rządowych, by przedstawić cel mojego przyjazdu na Wołyń, zaraz na wstępie spotkałem się z pytaniem, czy wogóle potrafię orjentować się w stosunkach kresowych. W pytaniu tem czułem obawę, bym może nieopatrznemi posunięciami nie zamącił tu procesu harmonizowania się życia państwowego, procesu układania się współżycia wśród tych narodowości słowiańskich, którym w udziale przypadło żyć na tej ziemi. To też, gdy zetknąłem się z najpoważniejszemi osobistościami, kierującemi polskiem życiem organizacyjnem na Wołyniu, i spotkałem się ze szczerą propozycją, bym oparł się wyłącznie o pomoc moralną organizacyj polskich, nie skorzystałem z tych usług. Na szczęście zupełnie dobrze mnie zrozumiano.

Olbrzymi obszar Kresów Wschodnich, zaniedbany przez zaborcę pod każdym względem, tak gospodarczmy jak i kulturalnym, — stanowiący część olbrzyma państwowego, który na brak połaci ziemi nigdy nie mógł narzekać, który nie był przygotowany do tego, by tereny, wyposażone w niesłychane skarby gospodarcze, zaprząc do pracy twórczej nad rozbudową życia gospodarczego, rozwinąć i doprowadzić je do stanu rozkwitu — gdy znalazł się w granicach Polski, zajął stanowisko wręcz niepodobne do dawnego; znalazł się w państwie, na którego zachodnich rubieżach znajduje się Wielkopolska i Pomorze, gdzie kultura materjalna i życie gospodarcze znajduje się na wysokim

poziomie; znalazł się w państwie, na którego zachodnich rubieżach znajduje się Górny Śląsk, trzeci pod względem wielkości obszar przemysłowy w Europie; znalazł się w państwie, w którem 4 województwa południowe, mając dostatecznie rozbudowane szkolnictwo i dostęp — już za czasów zaborczych — do wszelkich urządzeń państwowych, zasiliły szkolnictwo, sądownictwo i administrację państwową w innych dzielnicach Polski.

To wszystko mając na uwadze, powiem, że Kresy Wschodnie, te olbrzymie obszary, które w granicach Rosji znajdowały się w położeniu beznadziejnem, nie powołane ani we współczesności, ani w przyszłości do odegrania jakiejkolwiek ważniejszej roli, zajęły w Polsce stanowisko wręcz uprzywilejowane. Bo jakże mam to określić? Polska — mając tereny na zachodzie z ludnością, stojącą na wysokim poziomie kultury materjalnej i dobrobytu, mając tereny, wśród których na Górnym Śląsku życie gospodarcze tętni z niesłychaną siłą — musi starać się o to, by inne tereny, zaniedbane przez zaborców, podźwignąć ze stopnia prymitywnej wegetacji i upodobnić je do najbardziej oświeconych i kulturalnych połaci kraju. To też potrzeby kulturalne oraz gospodarcze Kresów Wschodnich muszą znaleźć należyte zrozumienie w państwie, przedewszystkiem u jego obywateli na przeciwległych rubieżach Polski, których inicjatywa i zasoby materjalne mogą doprowadzić Kresy Wschodnie do tego stanu, by stały się one twórczym ośrodkiem w życiu gospodarczem naszego państwa.



Władysław Raczkiewicz
Marszałek Senatu Rzplitej, Prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, b. Wojewoda Wileński

Takiemi myślami ożywiony jechałem na Kresy Wschodnie. Miałem pragnienie, abym mógł przemówić do ludności kresowej. Aby nietylko kresowy Polak, ale wszystkie słowiańskie „mniejszości" narodowościowe, zamieszkujące te ziemie, dowiedziały się, jakie to skarby gospodarcze znajdują się na Górnym Śląsku, jak doniosłą rolę odgrywa Górny Śląsk w systemie gospodarczym Państwa Polskiego, wreszcie do czego może doprowadzić więź gospodarcza z Górnym Śląskiem, dlaczego Kresy Wschodnie są potrzebne Górnemu Śląskowi a Górny Śląsk Kresom.

I zawodu nie doznałem! Spędziłem bez przerwy 11 miesięcy wśród słowiańskiej ludności Kresów Wschodnich, byłem w 27 miastach i miasteczkach, wygłosiłem 97 odczytów i miałem wraz z wojskiem około 60.000 słuchaczy, a w tem 50% narodowości ukraińskiej, białoruskiej, a częściowo nawet rosyjskiej i czeskiej.

60.000 nie jest to cyfra duża i przesadzona, jeśli w samem Równem — dzięki pomocy i poparciu p. kuratora Szelągowskiego i generała Knolla — wysłuchało mnie conajmniej 5000 młodzieży i 3000 żołnierzy na czele z oficerami i podoficerami.

Jak wytłumaczyć to niezwykłe powodzenie? A bardzo prosto! Kierownicze żywioły wśród ludności Kresów Wschodnich wiedzą dobrze o tem, że są opuszczone i biedne i o własnych siłach nie będą się mogły podnieść ani kulturalnie, ani gospodarczo. To też intuicyjnie zwracały się myślą ku najbogatszym terenom Polski, przedewszystkiem ku Górnemu Śląskowi. W podświadomości społeczeństwa kresowego drzemała myśl o więzi duchowej i materjalnej między Kresami Wschodniemi i Górnym Śląskiem. A ja właśnie tam poto przyjechałem, by o tej więzi mówić.

Ludność Kresów początkowo dążyła do tego, by ogół społeczeństwa z wysuniętych na zachód terenów nią się zainteresował. Pierwszą próbę zrobiono w r. 1923. Opowiadał mi o tem wicestarosta w Kowlo, p. Kański. Wysłano pisma do Warszawy, zapraszając przedstawicieli pism stołecznych z wycieczką na Kresy. No i taka stołeczna wycieczka nawiedziła miasta kresowe. Było wiele uciechy, zwłaszcza na Wołyniu i Polesiu. Wszystkie żale, bolączki, troski i potrzeby kresowe miały ujrzeć nareszcie światło dzienne. Gdy wycieczka opuściła Kresy, ludzie gazet nie mogli się doczekać. Tymczasem upływał dzień za dniem... i nic. Wreszcie ukazał się artykuł w jednem z pism, w którem ku ogólnemu oburzeniu i zgorszeniu wyczytano, że autor artykułu nic osobliwego na Kresach nie widział... Jeno w Pińsku i Kowlu... Indjan na dworcu!?!

Miał na myśli Poleszuków. Poczciwy ten naród chodzi sobie — na co go stać — w łapciach, w baranich kożuchach, wełną na wierzch, i w olbrzymich włosiatych czapach na głowie. No i ów dziennikarz zrobił z nich... prawdziwych Indjan. Od tego czasu za publicystami stołecznymi nie tęskniono...

Jak to było na Wołyniu za kniazia Wasila Ostrogskiego

Gdy objeżdżałem miasta i miasteczka na Kresach Wschodnich, chodziło mi o zapoznanie miejscowej ludności ze skarbami gospodarczemi Górnego Śląska, ze znaczeniem tych bogactw dla Polski, natomiast nie dziwiłem się niczemu, co tam spostrzegałem, nie czyniłem nigdy takich przeciwstawień, któreby uczestników moich przemówień rozgoryczyły. Rozumiałem, że ludność dalekich Kresów sama wie, iż jest bardzo biedna, że sama doskonale odczuwa, iż jest opuszczona, a, chcąc podnieść te połacie kraju do stanu rozkwitu, na każdem polu działania — czy oświatowo-kulturalnego, czy gospodarczego — pracę tu rozpoczynać trzeba od podstaw... O samych brakach, błędach, niedomaganiach, czy słabości społeczeństwa na tych terenach Rzeczypospolitej mówić należy jaknajmniej, bo to



Liceum Krzemienieckie na Wołyniu

zechciały wejść w bliższy kontakt z nami, Śląsk mógłby spotęgować rozwój swego życia gospodarczego, całe dziesiątki tysięcy znalazłyby tam pracę i chleb, tu zaś, na Wołyniu, Polesiu i Białorusi, poczęłoby pączkować inne życie, te olbrzymie tereny stałyby się źródłem nowych bogactw i potęgi Polski, zakwitłaby tu kultura i racjonalna gospodarka, a udziałem chłopa ukraińskiego, białoruskiego, a nawet Poleszuka stałby się dobrobyt, którego nie znają nawet z wyobraźni.

wszystko ludność kresowa odczuwa wymownie na własnej skórze; przeciwstawianie zaś rubieży zachodnich Polski — ich wygląd, sposób życia, urządzenia społeczne i kulturalne, rozmach życia gospodarczego, — rubieżom wschodnim, stanu rzeczy na Kresach Wschodnich nie zmieni. Może tylko pogłębić żal i rozgoryczenie.

Na Kresy Wschodnie trzeba iść z wiarą w lepsze jutro, z wysiłkiem, by ta wiara przeniknęła dostatecznie głęboko umysłowość społeczeństwa kresowego.

Na Kresy trzeba iść z sercem, dodać im bodźca do pracy twórczej, z przekonaniem, że na tych rubieżach Rzeczypospolitej musi rychło zakwitnąć nowe życie na każdem polu, że Kresy Wschodnie nie będą kolonjami eksploatacyjnemi Polski, ale taką jej częścią, która na polu kultury i racjonalnej gospodarki stanowi z Rzeczypospolitą Polską jedną całość łączną, słowem, że społeczeństwo doceni znaczenie Kresów Wschodnich dla gospodarstwa narodowego i spowoduje swemi usiłowaniami, zrozumieniem i zainteresowaniem dla nich, że te Kresy upodobnią się z czasem do zachodnich połaci kraju.

Będąc na Wołyniu, upominano mnie zewsząd, abym czasem w swych objazdach nie opuścił Ostroga, położonego nad samą granicą Rzplitej z Rosją Sowiecką, w odległości 14 km. od stacji kolejowej. Zwracano mi uwagę, zachęcając mnie do tego, że jeśli miasta, miasteczka i wioski wołyńskie cechuje obecnie bieda i opuszczenie, a ruiny starych zamczysk w Krzemieńcu, Łucku, Równem i Dubnie, mogły być dla mnie świadectwem dawnego rozkwitu i lepszej przeszłości tych ziem, to dopiero, gdy znajdę się w Ostrogu, potrafię wczuć się w piękną, świetną i ciekawą historję całego Wołynia.

— *Gdy zajedzie pan do Ostroga* — zachęcał mnie Dr. Masłowskij w Krzemieńcu, typ światłego Wołyniaka, w domu którego spędziłem kilka miłych wieczorów przy herbacie i doskonałych konfiturach — *będzie pan mógł śmiało powiedzieć na Śląsku, że nasze ziemie wschodnie słynęły niegdyś ze swej świetności i bogactwa i do tego stanu powrócić muszą. Potrzeba tylko trochę inicjatywy, dużo wysiłku i nieco kapitału. Gdyby sfery gospodarcze najbogatszej połaci kraju, t. j. Górnego Śląska,*

Na Śląsku, w Poznańskiem i na Pomorzu lekceważy się Kresy Wschodnie. Sprawia to brak należytego zrozumienia dla tych ziem i mała znajomość tych terenów. Opowiadał mi p. Świerzowicz, dyr. gimnazjum państwowego w Ostrogu, że jego opowiadania na temat Wołynia wywołują nawet we Lwowie wybuchy zdumienia. A przecież województwo lwowskie graniczy z Wołyniem... Gdy pod koniec lutego roku 1928 wróciłem z Kresów do Katowic, z uśmiechem czytałem pewną publikację, napisaną w języku niemieckim przez wybitnego polityka na Górnym Śląsku — Polaka — p. t. „*Aufruf an die Oberschlesier*", w której autor wyrażał obawę, aby Górny Śląsk — Boże broń — pod względem kulturalnym i gospodarczym nie zeszedł do poziomu Kresów Wschodnich, ostrzegając przytem czytelnika swej publikacji, że jeśli nie zastosuje się do jego rad, wówczas Katowice, Królewska Huta i inne miasta na Śląsku zejdą na tak niski stopień, na jakim dziś stoją Łuck, Równe, Pińsk, Baranowicze... i Wilno!?!

Zbrodnicza demagogja!?! Wielu wydaje się, że za pośrednictwem tak płytkiej demagogji pogłębi się rynek zbytu dla nadmiaru produktów górnośląskich, tacy „działacze" myślą, że przez sianie uprzedzeń dzielnicowych powiększy się obszar gospodarczy dla ekspansji produktów śląskich na rynku krajowym.



Ulica Mickiewicza w Wilnie z widokiem na katedrę

Niech poznanie zachodniej kresowej ziemi z jej bogactwem i potęgą pracy przez tutejszą młodzież przyczyni się do ugruntowania pamięci jedności państwa i wzmocnienia jego siły i znaczenia

K. Szelągowski
Kurator Okręgu Szkolnego Wołyńskiego

Równe, dnia 9/XII. 1927 r.

Autograf, zamieszczony w książce pamiątkowej prelegenta przez ówczesnego kuratora Okręgu Szkolnego Wołyńskiego, p. K. Szelągowskiego, obecnie kuratora Okręgu Szkolnego Wileńskiego

Tymczasem rozmawiając z kierującemi czynnikami wśród społeczeństwa kresowego, spotyka się wszędzie i ciągle jedno wielkie pragnienie, *by miasta i miasteczka kresowe doszły do stopnia swej dawnej świetności*, by w jaknajkrótszym czasie upodobniły się do miasteczek i miast zachodniej Polski, by ludność miast i wsi pod względem sposobu życia, potrzeb, swoich wymagań itd., doszła do tego stopnia, na jakim dziś znajduje się ludność miast i wsi w województwach zachodnich.

— *Śląsk, Poznańskie i Pomorze* — mówił do mnie p. Piekarskij z Równego — *uważamy za kulturalne kolonje współczesnej Polski, to też te kolonje nie mogą odgradzać się chińskim murem uprzedzeń i ignorancji od naszych terenów. Najprzód musi nastąpić zbliżenie umysłowe, wzajemne poznanie, a w ślad za tem pójdzie zbliżenie na polu gospodarczem — korzyści w znaczeniu materjalnem, wzajemny rozkwit i dobrobyt. Chcemy przyjechać do was, aby zobaczyć, jak wy żyjecie, aby wedle waszych wzorów kształtować i urabiać życie nasze. Dotychczas nie było ani jednej ukraińskiej wycieczki na Górny Śląsk, bo chcemy być życzliwie przyjęci, a tej pewności nie mamy.*

— Cóż z tego, — mówił do mnie jeden z wybitnych działaczy ukraińskich w drodze z Rohatyna do Stanisławowa — że wyraz, określający naszą narodowość, będziecie zamieszczać w cudzysłowie, skoro lud ukraiński żyje na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej? Czy cudzysłowem nas zniszczycie?

Trudno mi nie wspomnieć, że np. p. Mandyczewskij w Kamionce Strumiłłowej narówni z p. Kalityńskim, prezesem miejscowego T. S. L., i p. Tymińskim, prezesem Sokoła, pomagał mi w organizowaniu wykładów, gdy zaś, opuszczając Kamionkę Strumiłłową, znalazłem się na dworcu, spostrzegłem p. Mandyczewskiego, który po to trudził się, abym w następnych swych objazdach nie zapomniał odwiedzić Kamionki

Ale wrócę do Ostroga... Gdy przyjechałem tam dopiero zobaczyłem dokładny obraz historji Wołynia i przekonałem się, że pragnienia kierowniczych sfer ludności wołyńskiej, aby tu zapanował dobrobyt i rozkwit, mają wszystkie podstawy. Co do Ostroga dowiedziałem się, że to miasto sięga odległej starożytności że pierwsze jego dzieje giną w mrokach starej doby a nawet nie są zapisane w historji, bo dopiero pod rokiem 1100 Ostróg pierwszą ma piśmienną o sobie historyczną wzmiankę w kronice Nestora i jest już wspomniany jako miasto z zamkiem.

Pod koniec XVI wieku, Ostróg jak i cały Wołyń znajduje się w stanie świetności. Taki np. kniaź Wasil Ostrogski posiadał 80 pięknych miast i 2760 siół przeszło 3000 młynów turkotało na rzekach, płynących przez ziemie kniazia. Kniaź utrzymywał ogromne stada koni, samych matek liczono 4000, oprócz koni jezdnych; prócz tego hodował bawoły i wielbłądy. Przy wstąpieniu na tron Henryka Walezjusza, kniaź Wasil Ostrogski oddał w darze temu królowi 5 wielbłądów urodzonych w Polsce, a mnogości zwyczajnego bydła nikt już nawet nie rachował. Z ogromnych dóbr Ostrogskich wpływało do książęcej kasy dochodu rocznego 1 200 000 ówczesnych złotych. Na ziemiach kniazia wojewody Wasila znajdowało się 600 cerkwi i 20 monastyrów, opatrzonych przezeń fundacjami W święto Konstantyna 1000 popów modliło się za zdrowie i pomyślność kniazia. Mówią dziejopisowie że na Rusi czczono i miano w poszanowaniu posąg księcia Wasila Ostrogskiego, ulany ze srebra.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaginiona

Opowieść na tle przeżyć dr. Antoniego Lipowskiego w Anglji

III.

Streszczenie poprzednich odcinków. Dr. Anthony Lipowski, zajmujący wysokie stanowisko w angielskim świecie naukowym, wraca do domu. W blaskach latarni zauważył postać kobiecą, która szukała zgubionej chusteczki. Potem zniknęła. Gdy dr. Lipowski wrócił do domu, dowiedział się z gazety, że artysta malarz Robert Coleridge poszukuje swej narzeczonej Isabel Taylor, która w tajemniczy sposób zaginęła. Dr. Lipowski dochodzi do przekonania, że nieznajoma, którą przed chwilą spotkał, to jest Isabel Taylor, zaginiona. Postanowił o tem zawiadomić zrozpaczonego Coleridge'a, jej narzeczonego. Coleridge mieszka u państwa Raven. Tam się udaje dr. Lipowski, ale malarza w domu nie zastaje. Dowiaduje się, że ten zapewne przebywa u państwa Forth, u których Isabel mieszkała. Dr. Lipowski udaje się do Forthów. Tam, wśród płaczu całej rodziny, ogląda mieszkanie zaginionej, przegląda jej korespondencję, w nadziei, że natrafi na jakieś ślady, po których dojdzie do rozwiązania tajemniczego zaginięcia Isabel Taylor. Przyzwyczajony do rozwiązywania skomplikowanych zagadnień naukowych i do badania, mózg dr. Lipowskiego jest teraz zaabsorbowany zaginięciem Isabel Taylor. Lipowski postanawia rozwiązać skomplikowaną zagadkę. Od następnego dnia Lipowski wspólnie z malarzem rozpoczyna poszukiwania za zaginioną. W okolicy, gdzie Isabel mieszkała, Lipowski udaje się do jednego z szynków. Tam wdaje się w rozmowę z szynkarzem, popija z nim gin, pokazuje mu fotografję panny Taylor i dowiaduje się, że przed paru dniami — mogło być w tym dniu, gdy Isabel zaginęła — wstąpił do tego szynku pewien mężczyzna w raglanie i kazał sobie podać szklankę ginu. Po kwadransie ukazała się na schodkach dama czarno ubrana, nieznajomy podskoczył do niej i zniknęli. Ową damą była z pewnością Isabel.

*

Niech pan czeka — przerwał szynkarz — Dorożkarz Boomer, który często tutaj przychodzi na jednego, był wtedy w szynku i wyszedł za nimi. Następnego dnia mówił mi, że parka na skwerze wsiadła do dorożki jego kolegi. Ale go o to zapytam, gdy tu przyjdzie.

— Niech to pan zrobi — wyrzekł Lipowski. — Więc ten dorożkarz nazywa się Boomer — chciał zapamiętać.

— Jimmy Bommer... Stary pijak.., Ale ten wytrzyma... Ja nigdybym tego nie zniósł...

Lipowski zapłacił rachunek.

— Ja tu jeszcze wstąpię — wyrzekł doktor.

— Pięknie, mój sąsiedzie — odpowiedział szynkarz, dziękując za pieniądze.

— Dobranoc, Tommy! — wyrzekł doktor i wyszedł.

Gospodarz zasalutował.

Z cienia sąsiedniego domu wyskoczył Coleridge do niego.

— No, doktorze? Co słychać?

— Dużo nowego! Wiele! — odpowiedział Lipowski triumfująco.

— Panie doktorze! — jęknął Coleridge.

Lipowski wziął go pod rękę, mówiąc: „No, chodźmy. Kierunek mam wytknięty".

Gdy śpieszyli przez Pont Street ku Belgrave Square Lipowski opowiadał malarzowi, czego się dowiedział w szynku. Z wykrzyknikami zdziwienia przysłuchiwał się malarz opowiadaniu doktora.

— Po mistrzowsku — mówił, ściskając głowę. — Panie doktorze! Na taki pomysł, nie byłbym nigdy wleciał!?!

— Widzi pan, ja jestem człowiekiem, który bada, który szuka i patrzy inaczej na życie jak pan — odrzekł doktor.

Gdy doszli na Belgrave Square, doktor skinął na pierwszą dorożkę.

— Czy niema tu dorożki Jimmy Boomera? — zapytał.

Dorożkarz rozejrzał się wokoło.

— Jimmy? Nie! On pojechał do kabaretu „Elysium". Dlaczego nie chce pan jechać moją dorożką?

— Czekaj pan — przerwał Lipowski. — Czy pan sobie nie przypomina, kto odwoził w ubiegły czwartek wielkiego mężczyznę w towarzystwie pięknej brunetki czarno okrytej?

— Czy tu z tego miejsca?

Dorożkarz zamyślił się.

— Zaraz się zapytam — odrzekł, zeskoczył z siedzenia i poszedł ku innym dorożkarzom.

Po chwili powrócił.

— Nie, mój panie, z nas nikt nie wie. Może wie Jimmy. Czy panowie chcą jechać do „Elysium"? Tam go napewno spotkamy.

Doktor wszedł do dorożki i pociągnął za sobą Coleridge'a.

— No, jazda do „Elysium!" Jak prędko zajedziemy. dostanie pan dobry napiwek — wyrzekł Lipowski.

Dorożkarz wyraził swoje zadowolenie z tego i począł gramolić się na kozła. W ostrem tempie popędziły szkapy. W lepszej nadziei patrzyli w dal obaj jadący, których los złączył jedną sprawą.

Podczas jazdy siedzieli pogrążeni w milczeniu. Każdy myślał o znaczeniu ostatnich wiadomości. Malarz odczuwał gorycz w sercu, myśląc o tem, że chociaż Isabel się znajdzie, to i tak będzie dla niego stracona na zawsze.

Czyż może mieć nadzieję zachowania jej dla siebie, kiedy jakiś obcy człowiek, którego on się tak obawia, mógł na nią wywrzeć tak wielki wpływ? Jak ona mogła z pierwszym lepszym spotkanym człowiekiem pokrzyżować mu wszystkie plany? Zewnętrzny wygląd tego osobnika nie mógł ją stanowczo pociągnąć, jak wynika z opowiadania szynkarza. Czy poszła za nim dobrowolnie? Jedna tylko myśl nadziei poruszała nieszczęśliwym malarzem, że, zwabiona jakimś podstępem, wpadła w zastawione sidła.

Również dr. Lipowski nie wierzył, aby poszła za popędem zmysłów. Dziewczyna musiała ulec tylko jakimś machinacjom. A teraz to nędzne indywiduum



Malarz Coleridge i zaginiona Isabel

trzyma ją w ukryciu, ażeby piękność dziewczyny i jej godność sponiewierać. Tylko gdzie ona jest? Aby wpaść na jej ślad, jest to dzisiaj naszem jedynem zadaniem.

Gdy dorożka toczyła się przez Chelsea Bridge, dorozkarz nagle zahamował pojazd i począł nawoływać w stronę mijającej ich dorożki. Tamten zatrzymał swoje szkapy i zawołał: „Hallo, Pat, co tam jest?“

— Słuchaj, Jimmy! Wiozę dwuch panów, którzy ciebie szukają — i począł pukać w szyby powozu.

— Czy już dojechaliśmy do „Elysium“? — zapytał Lipowski.

— Nie! Ale tak samo, jakbyśmy już dojechali, bo Jimmy Boonmer jest tu.

— Czyżby? — odezwał się doktor, wysiadając z dorożki wraz z malarzem.

Dorożkarz wskazał na człowieka, który obok zsiadał z kozła.

— Czy pan wolny? — zapytał go Lipowski.

— Tak jest!

— W takim razie poczekaj pan — wyrzekł doktor do Boomera, jednocześnie zwracając się do Coleridge'a. — Aby nasz dorożkarz nic nie stracił, jedź pan z nim z powrotem na Belgrave Square. Ja tą samą drogą pojadę z Jimmy Boomerem.

Malarz zrozumiał o co chodzi i zaraz wsiadł do dorożki, a Lipowski, wciskając dorożkarzowi obfity napiwek, rozkazał mu jechać z powrotem na Belgrave Square.

Dorożkarz skłonił się z podziękowaniem i ruszył z malarzem. Tymczasem doktor przystąpił do Jimmy Boomera, który stał w oczekiwaniu przed otwartemi drzwiczkami swojej karety, trzymając rękę przy kapeluszu.

— Czem mogę panu służyć?

— Czy pan jesteś Jimmy Boomer? — zapytał Lipowski.

— Tak! W całej swej okazałości — wyrzekł Jimmy z uśmiechem.

— A więc, Boomer, jedźcie na Belgrave Square, ale ja sobie usiądę przy was na koźle, bo chcę z panem pomówić.

— Jak sobie pan życzy!

Obaj wygramolili się na kozła. Kiedy powóz był w biegu, Lipowski zwrócił się do Boomera: „Więc niech pan słucha. W ostatni czwartek, przechodząc przez Pont Street, zgubiłem portfel i wiem napewno, że go znalazł pewien mężczyzna, który szedł z kobietą. Wiem i to, że na Belgrave Square wsiedli do dorożki“.

Boomer chciał mu przerwać, ale Lipowski nie dopuścił do tego i mówił dalej.

— Pan, panie Boomer, nie wchodzi tutaj w rachubę, bo to zrobił przypadek, że dostałem pańskie nazwisko i do pana się zwracam — ciągnął doktor. — Słu-

chaj pan. Idąc, pośliznąłem się na ostrużynie od jabłka i upadłem akurat przed szynkiem.

— Pewnie przed szynkiem ojca Seddletona — wykrzyknął Jimmy,

— Słusznie — potwierdził Lipowski. — Powstałem i kiedy zauważyłem, że mi się nic nie stało, poszedłem spokojnie do domu. Było to wieczorem coś około 9 godziny. Dopiero w domu zauważyłem, że zgubiłem portfel, więc zaraz zpowrotem wyszedłem. Zapytałem starego Seddletona, czy czegoś nie znalazł i określiłem mu wygląd portfelu. Ten mi oświadczył, że coś podobnego widział u jednego z gości, który w tym samym czasie wszedł do lokalu. Wobec tego począłem się rozpytywać o tego gościa i powiedziano mi, że z jakąś damą wsiadł do dorożki. Mnie chodzi o to, aby się dowiedzieć, gdzie ta parka pojechała. Zapewniam pana, że miałem w portfelu 100 banknotów funtowych.

— To wszystko się zgadza — potwierdził Boomer. — Więc chodzi o mężczyznę w tym wielkim kapeluszu? Ja odrazu przypuszczałem, że tam coś było nie w porządku. Tacy panowie nie piją swego ginu w szynku Seddletona. Wszystko się więc zgadza. Szedłem za nimi. Kobieta zatrzymywała się kilka razy, jakby nie miała ochoty z nim iść, ale wkońcu wsiadła z nim do dorożki Perrins'a. Gdy Perrins nie miał jazdy, spotkaliśmy go na Belgrave Square. Dokąd on tych dwoje wiózł, nie wiem.

Dr. Lipowski nie dowiedział się wprawdzie nic pewnego, ale miał nazwisko dorożkarza, z którym tajemnicza para pojechała. Więc postanowił po nitce dojść do kłębka.

Gdy powóz zbliżał się do Belgrave Square, zawołał Jimmy Boomer: „Hallo, widzę dorożkę Perrins'a. Właśnie coś poprawia koło uprzęży."

Dr. Lipowski zeskoczył z kozła i szybko pobiegł w kierunku Perrins'a. Boomer śpieszył za nim i zawołał: „Perrins! Gdzieś to niedawno jechał z tym panem, który miał taki wielki kapelusz, a towarzyszyła mu dama w czarnym kostjumie? Ten pan chciałby to koniecznie wiedzieć".

Stary dorożkarz pomyślał chwilę, obracając w ustach cygaro. Po chwili skinął głową, jakby odkrył wielką tajemnicę.

— Ach! — wyrzekł. — Ten pan w raglanie? Czekajcie... Czekajcie... Ja z tem państwem jechałem bardzo daleko... Do Camden Road, między Kentish Town i Holloway. Tam oni dopiero wysiedli.

Coleridge, który ostatnie słowa dosłyszał, przybiegł szybko, pytając gorączkowo: „Do jakiego domu weszli? Musiałeś pan chyba to widzieć!"

Stary dorożkarz wyprostował się dumnie.

— Nie! Tego nie widziałem, gdzie weszli. Oni wysiedli na początku Camden Road i poszli piechotą dalej. A ja wróciłem.

Perrins mówił tak otwarcie, że można było dać wiarę jego słowom. Dr. Lipowski i malarz, obaj poszukujący, rzucili na siebie porozumiewające spojrzenia. Chociaż już tyle wiedzieli, jak ślady szły, które rozpoczynały się od mieszkania Coleridge'a. Niespodzianką w tem odkryciu było to, że niedaleko od wymienionej ulicy znajdowała się Pentonville Road, gdzie Isabel mieszkała. Dr. Lipowski spojrzał na zegarek. Było niedaleko wpół do dziesiątej.

— Czy jeszcze mamy jechać? — zapytał malarza. Choćby tylko na to, aby wysondować okolicę.

Coleridge chwycił dłoń Lipowskiego i uścisnął ją gorąco.

— Pan jesteś nieoceniony. Poświęcasz się pan ludziom, którzy nic panu dobrego jeszcze nie wyświadczyli.

Lipowski nie dał mu mówić.

— Cicho! Cicho! To już jest moja rzecz. Mnie ta afera ogromnie interesuje. Ja muszę zdemaskować tych nędzników. Więc chodźmy!

Wynagrodziwszy Jimmy Boomera sowicie, wsiedli do dorożki Perrins'a i kazali się wieźć w tym samym kierunku i na to miejsce, gdzie wysiadła tajemnicza para.

Po długiej jeździe zagłębili się w grupę drzew Regents Park, potem w szerokie ulice Camden Town, a wkońcu powóz zatrzymał się na początku jasno oświetlonego Camden Road.

Perrins otworzył drzwiczki.

— Oto, moi panowie, jesteśmy na upragnionem miejscu. Patrzcie! Tutaj wysiadła para i stąd w kierunku Holloway poszła.

Obaj panowie spoglądali w tym kierunku.

— Czy ci ludzie swojem zachowaniem nie nasuwali panu jakichś myśli? — pytał Lipowski dorożkarza.

— Mężczyzna wyglądał ponuro, a pani bardzo smutno. Zresztą nic szczególnego nie spostrzegłem — odpowiedział Perrins.

Nie płacąc dorożkarzowi, dr. Lipowski kazał mu zatrzymać się na rogu ulicy, a sam z Coleridge'em podążył dalej wzdłuż ulicy. Prawdopodobnie w ów pamiętny wieczór tędy ta para musiała przechodzić. Ponieważ o tej godzinie ruch jest bardzo słaby na zacisznej Pont Street, przypuszczali, że mieszkańcy przechodzącą parę mogli spostrzec. Poszukiwania okazały się jednak daremne. Dr. Lipowski zagadnął jednego handlarza stojącego przed składem, czy nie widział przechodzącej tędy owej tajemniczej pary, ale ten wzruszył ramionami, mówiąc, że nic sobie nie przypomina.

Tak idąc doszli do końca szerokiej ulicy, gdzie się dwie małe ulice z Holloway i Islington stykają. Co tu robić? Jak tu natratić na slad? Podstępny sposób, w jakim działał człowiek w wielkim kapeluszu, upewnił dr. Lipowskiego, że to było przestępstwo. Bez pomocy policji będą bezradni.

Coleridge był zdania, żeby udać się na najbliższy posterunek policji i wtajemniczyć we wszystko, co im było wiadomem. Dr. Lipowski z tym planem się godził. W tym celu, gdy dochodzili do połowy ulicy, natrafili na policjanta.

Udali się do komisarjatu, gdzie ich przyją n dy i energiczny komisarz o ostrych rysach twarzy. ardzo go zainteresowało opowiadanie obu panów.

-- Patrzcie! Patrzcie! — mówił. — Ten wypadek jest zanotowany jako usiłowane samobójstwo. Panów udział w śledztwie wykazuje, że nastąpiła pomyłka w określeniu tego wypadku. To trzeba zanotować pod rubryką: „Usiłowane morderstwo“. Więc, moi panowie, trzeba natychmiast skoncentrować wokoło Camden Road najlepszych wywiadowców. Przecież ktoś musiał spostrzec tego pana w kapeluszu o szerokiem rondzie i w raglanie? Ja natychmiast połączę się z główną komendą policji. A teraz czynność panów kończy się. Teraz pozwólcie nam panowie z całą energją zabrać się do roboty. Gdy tylko ptaszka złapiemy, natychmiast damy panom wiadomość. Jeszcze proszę tylko o panów adresy.

Obaj panowie podali swoje adresy i oddalili się.

Czy można na tem coś budować, gdy do tej sprawy przyłożyła rękę policja? Dla zniecierpliwionego narzeczonego to oczekiwanie było prawdziwą udręką. Czy on ma cicho siedzieć, a inni mają za niego pracować? Czy nie lepiej byłoby, żeby on sam z całą energją zabrał się do odszukania zaginionej? I począł pocierać ręką czoło i skupiać swoją myśl nad tem, od czegoby zacząć.

Dr. Lipowski najzupełniej podzielał zamiary swego towarzysza. Jemu też było przykro, żeby tak raptem przerwać tak pięknie rozpoczęte poszukiwania. On tak się z tą sprawą związał, że wprost przez myśl przejść mu nie mogło, żeby się przestać tem interesować. Do tego jeszcze dziwnie jakoś zainteresowała go piękna postać młodej modniarki. Pociągała go również sympatyczna postać młodego malarza, który w pełni swojej młodości musiał przeżywać tak straszną tragedję. Przeczuwał, że jego cierpliwość nie wytrzyma tej próby, żeby bezczynnie musiał czekać na to, co policja dokaże.

Dr. Lipowski przemyśliwał. Świadomość mu mówiła, że gdzieś w tej stronie znajdują się ślady zaginionej i od tego miejsca trzeba zacząć, gdzie owego tragicznego wieczoru zatrzymała się dorożka. Trzeba przyjąć, że para odbyła drogę pieszo i nie jest wykluczone, że ta droga była bardzo daleka. Wszystko wskazywało na to, że trzeba szukać w tym okręgu. Poszukiwanie to musi się jednak odbywać tak dyskretnie, żeby dwuch — tak eleganckich mężczyzn jak my — nie wzbudzało podejrzenia. Co tu robić?

W głębokiem zamyśleniu postępowali naprzód aż doszli do miejsca, w którem wysiedli z dorożki. Tu przystanęli niezdecydowanie.

Coleridge westchnął głęboko.

— Tak! Tak! Co robić? — wyszeptał.

— Więc co? — zagadnął Lipowski malarza.

Dr. Lipowski wsunął mu rękę pod ramię.

— Najprzód chodźmy do pana Fortha na Pentonville Road. Nie jesteśmy tak znowu stąd daleko... Może w międzyczasie przybłąkała się jakaś wiadomość..

Z rezygnacją skinął malarz głową.

— Zanim przyszedłem do pana, panie doktorze, byłem już tam. Cóżby tam w międzyczasie mogli usłyszeć?

Dr. Lipowski spojrzał badawczo na malarza.

— Tylko nie tracić nadziei, kochany przyjacielu — odezwał się. — W każdym razie niczego zaniedbać nie możemy...

Coleridge zaczerwienił się jak pensjonarka i zgodził się.

— Masz pan rację. Chodźmy tam.

Szybko puścili się przez brudne i wilgotne ulice w stronę Pentonville Road. Nie uszli daleko, kiedy Coleridge zagadnął raptem jednego z przechodniów.

— Ach, mister Forth, właśnie zdążamy do pana.

— Drogi Bobie, — odezwał się rozradowany Forth — właśnie posłałem do pana kilka słów. Dobrze, że pan idzie do nas... — i pytającym wzrokiem obrzucał doktora.

Coleridge to spostrzegł i przedstawił mu doktora Lipowskiego, którego Forth nie znał.

— To jest mister Forth, — wyrzekł malarz — który odnosił się do mnie i do Isabel zawsze z ojcowską serdecznością... Pan to już wie... A tu mój przyjacielu, to doktor Lipowski, który już wczoraj był u was... Ale pana nie było w domu.

Mister Forth był to człowiek w wieku, który trudno określić, twarz miał gładko wygoloną. Teraz skłonił się uprzejmie kapeluszem.

— Czcigodny panie doktorze! Bardzo żałuję, że nie byłem wtedy w domu, ale ważne sprawy nie pozwoliły mi — wyrzekł do doktora.

Mister Forth, który był wyrobnikiem i dla którego praca była wielkiem świętem, posiadał cały zasób słów konwencjonalnych, które gdzieś przypadkowo nałapał i sobie przyswoił. Kończąc swoje komplementa i uniżone ukłony wobec doktora Lipowskiego, zwrócił się do malarza.

— Kochany synu mojego przyjaciela! — odezwał się. — Otrzymałem wiadomość w twojej sprawie, która mnie zbytnio nie ucieszyła, więc chcę ją wyjaśnić. Ja już to wyjaśniłem na posterunku policyjnym. Przyznam się szczerze, że czegoś podobnego nie spodziewałem się po pannie Taylor. Miała najlepszy przykład w moim domu...

Coleridge nie pozwolił mu dokończyć i chwycił go za ramię.

— Co się stało? Mów pan prędzej.

Nie uwalniając ramienia z uścisku Coleridge'a, Forth najspokojniej ciągnął dalej: „Wobec tego wszystkiego to mnie zdumiewa, że podczas pobytu swego w naszym domu panna Isabel nie dała nam nigdy powodu, by jej coś zarzucić w jej zachowaniu się... Ależ kochany Bobie!?! Co się mścisz na moich muskułach... Czy chcesz je zmiażdżyć? Nie pogryziesz mnie chyba za to, gdy ci powiem, że jeden z moich znajomych, który mi często nastręcza pracę, opowiadał, że słyszał od swojego znajomego trafikarza, który ma swój kiosk przy Trafalgar Square, że akurat w czwartek, gdy Isabel zaginęła, widział ją spacerującą z jakimś mężczyzną na Euston Street. Ponieważ panienka była bardzo ładna, więc z ciekawością patrzył, dokąd oni zmierzają. Nagle zawrócili i skręcili na Seymour Street. Trafikarz o tem zdarzeniu zupełnie zapomniał i dzisiaj przy spotkaniu z moim przyjacielem dopiero sobie to przypomniał. Ja go oczywiście zaprowadziłem na policję, by to zaprotokułowano.

W naprężeniu nerwowem wysłuchał Coleridge tej wiadomości.

— Więc te okoliczności upoważniają pana, — przerwał Coleridge — by ją oskarżać i podejrzewać? A czy panu nie przyszło na myśl, że ona padła ofiarą jakiejś zbrodni? Że ona wpadła w ręce jakiegoś złoczyńcy? Wszak od kilku godzin wiemy dokładnie, że ten złoczyńca miał raglan i kapelusz o szerokiem rondzie.

— W raglanie? W szerokim kapeluszu? — przerwał mister Forth.

— Tak! Był to mężczyzna wysoki, barczysty i w podeszłym wieku — dodał malarz.

— Nie! — zaprotestował mister Forth — Mój przyjaciel Archibald Arbre określił go inaczej: Był to

mężczyzna młody, w długim czarnym płaszczu podróżnym, w sztywnym kapeluszu, bardzo piękny i wyglądał na uwodziciela.

Skonsternowani spoglądali na siebie dr. Lipowski i Coleridge. Wiele w tem prawdy? Czyby tu więcej wchodziło towarzyszy? To niemożliwe... Jeżeli trzech twierdzi jednakowo, to dlaczego Forth mówi inaczej. Trzech ludzi zgodnie go opisało. A więc przyjaciel Fortha może tylko fantazjować, albo był wtedy pijany.

Dr. Lipowski zapytał Fortha, gdzie obecnie przebywa jego przyjaciel, który mu to opowiadał. Mister Forth wyjaśnił, że, po opuszczeniu posterunku policyjnego, wstąpił do szynku na kawę. Gdyby się panowie pośpieszyli, możeby go tam jeszcze znaleźli. Dr. Lipowski ze swoim towarzyszem pośpieszyli w stronę wskazanego szynku, nie zwracając uwagi na uniżone ukłony mister Fortha.

W szynku powiedziano im, że przed paru minutami Arbre opuścił lokal. Istotnie Lipowski i malarz ujrzeli w oddali na skręcie znikającego człowieka. Na chybił trafił poczęli wykrzykiwać jego nazwisko i w rzeczy samej Archibald Arbre obejrzał się i przystanął. Na ich pytania chętnie zaczął odpowiadać. On nawet sobie przypomniał, że w domu Forthów widział Coleridge'a. Jego wyjaśnienia zgadzały się z opowiadaniem Fortha.

Ponieważ Archibald Arbre wyglądał solidnie, nie było powodu niewierzyć jego słowom. On twierdził z uporem, że towarzysz Isabel był młody, piękny, dużego wzrostu, a okryty był w czarny płaszcz. Isabel była roześmiana i w niego wpatrzona. Weszli w Seymour Street.

Znacząco spojrzeli na siebie Lipowski i Coleridge. Seymour Street prowadziła w stronę północną, gdzie przedtem zgubił się ślad za zaginioną. Stamtąd musiała ze swoim towarzyszem — tym, albo innym — przyjść na Pont Street do Coleridge'a, a potem wróciła na to samo miejsce. Tu się wyłonił nowy problem, nowe zjawisko. A więc, albo było ich dwuch, albo jedna i ta sama osoba przebierała się. W każdym razie za uwodzicielem poszła Isabel dobrowolnie, bo nawet wstąpiła do narzeczonego, by mu zostawić list z zawiadomieniem o zerwaniu...

Podczas tej rozmowy zrobiło się tak późno, że już natura upominała się o spoczynek. Doktor zaproponował malarzowi, aby jutro spotkali się przed zakładem św. Jerzego, a potem obmyślą, co mają dalej robić.

— Chodźmy teraz razem na Sloane Station — zaproponował Lipowski, ale Coleridge sprzeciwił się temu.

— Co panu stoi na przeszkodzie? — zapytał doktor.

Malarz zdecydowanym ruchem podniósł głowę.

— Nie, szanowny panie doktorze! Ja tak długo nie wrócę do swego mieszkania, dopóki nie chwycę tego łotra. Niech mi pan pozwoli tu zostać. Połamię sobie nogi, ale nie spocznę, dopóki jej nie odszukam — żywą albo umarłą. A gdy będę wiedział, że jest dla mnie stracona, to sobie wymierzę chociaż zemstę. Do widzenia! Do jutra!

Istotnie, Coleridge pozostawił doktora. Lipowski skierował się ku przystankowi. Jego współczucie dla młodego malarza potęgowało się. Sprawa zaginionej stała się treścią jego życia... Postanowił ratować opuszczonego młodego malarza, którego talent mógłby rozkwitnąć i dać światu wielkie dzieła.

Lipowski wsiadł do pociągu i w parę minut potem był już na Cale Street, skąd miał już bardzo blisko do domu. Mimo tej wielkiej drogi, jaką dziś przebył, ciągle myślał nad wyjaśnieniem zagadki i zasnąć nie mógł.

Gdy następnego popołudnia dr. Lipowski wyszedł z portalu zakładu św. Jerzego, począł uważnie rozglądać się wokoło. Ale spoglądał daremnie, bo Coleridge'a nigdzie nie było. Lipowski spojrzał na zegarek i przekonał się, że upłynął już kwadrans po 5-tej. Malarz nie okazał się punktualnym. Prawie 15 minut przechadzał się doktor tam i z powrotem niecierpliwie. Wreszcie postanowił udać się do domu. Gdy wszedł do domu, powitała go wierna miss Saunders i wręczyła mu pismo. Doktor w tej chwili poznał drobne pismo malarza.

„Drogi i Czcigodny Panie Doktorze!

Proszę mi wybaczyć, że dziś na umówione miejsce nie przybyłem. Co zaszło, chcę panu prędko opisać, nie chcąc tracić czasu na spotkania, gdyż każda minuta jest droga, o ile mam ratować biedną zaginioną. Przedewszystkiem wielkie odkrycie. Chodziłem wzdłuż i wszerz, ale na żaden ślad nie natrafiłem. Kiedy wkońcu zmordowany doszedłem do Kentish Town, wstąpiłem do najbliższego szynku, aby się posilić. W lokalu był tylko jeden gość, który spał na stołku. Wdałem się w rozmowę z gospodarzem i w czasie rozmowy zacząłem opowiadać o mężczyźnie w szerokim kapeluszu. Gdy mu dokładnie opisałem jak ów mężczyzna wygląda, gospodarz zamyślił się i potem począł opowiadać, że ten mężczyzna przed kilku miesiącami był w tym szynku w towarzystwie bardzo pięknej i eleganckiej kobiety. Oni zajęli oddzielny pokój, pozostali w nim około jednej godziny i wypili 3 butelki wina. On sobie przypomina doskonale tego mężczyznę, który mimo ciepłego wiosennego wieczoru ani kapelusza, ani płaszcza nie zdejmował. Jego towarzyszka nie była jednak Isabel, dlatego, że — jak ją opisał gospodarz — tamta była małą i delikatną blondynką. Kto ci oboje byli, gospodarz nie może nic powiedzieć, bo w szynku było więcej osób i nikt się niemi zbytnio nie interesował. Co Pan o tem myśli? Jest prawie pewnem, że moja ukochana Isabel wpadła w sieci obrzydliwego mordercy. Trudno odgadnąć, w jakim celu to czyni. Przypuszczam, że musiał jej grozić, że mnie zabije, to też wolała iść dobrowolnie niż mnie na coś złego narażać. Uważam go za swego śmiertelnego wroga, to też nie spocznę, dopóki ofiary z jego rąk nie wydrę. Ja sprawiedliwości nie będę szukał w sądzie. Sam ją sobie wymierzę. Żegnaj Przyjacielu! Gdy coś osiągnę, zaraz Pana zawiadomię. Pańskiego drogiego czasu nie mogę przecież zabierać dla moich prywatnych usług.

Do grobu wdzięczny

Robert Coleridge."

Jeszcze raz gorączkowo czytał doktor Lipowski skreślone słowa przez malarza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i Redaktor odpow.: Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Królewska Huta G. Śląsk, ul. Hajducka 15, tel. 11-67, konto P. K. O. Katowice Nr. 310.202. — Prenumerata „Polaków w całym świecie" w kraju i zagranicą wynosi kwartalnie: Polska 6 zł., Ameryka 1 1/2 dol., Francja 25 fr, Niemcy 4 Rmk., Szwajcarja 4,50 fr. szw., Holandja 2,50 floren., Belgja 6 fr. belg, Włochy 15 lirów, Szwecja-Norwegja 4 kor, Austrja 6,50 szyl, Rumunja 160 lei, Czechosłowacja 24 Kć. Cena pojedyńczego numeru w Polsce 1 zł. Ceny ogłoszeń: za 1 str. 750 zł, 1/2 str. 400 zł., 1/4 str. 200 zł., 1/8 str. 100 zł. Za treść ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Naczelny Redaktor przyjmuje codziennie (oprócz soboty i świąt) od godziny 11—13. — Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Uwaga: Ulgowa prenumerata dla wszystkich szkół na terenie Rzeczypospolitej, czytelń i bibljotek — o ile wpłaty następować będą bezpośrednio na P. K. O. Nr. 310.202 — wynosi kwartalnie 4,50 zł. (za 6 zeszytów).

Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka 15

DLA DZIECKA POLSKIEGO — POLSKI OBRAZEK

Rok rocznie setki dzieci polskich w każdej parafji przystępują do Komunji św. Jest w zwyczaju, iż każde dziecko otrzymuje, dla upamiętnienia tego dnia, obrazek ze stosownym napisem od swego księdza proboszcza. I nikt się nad tem nie zastanawiał, ile przy tej okazji rok rocznie dziesiątków tysięcy złotych polskich płynęło do Niemiec, przysparzając pracy i chleba Niemcom. Bo przedsiębiorstwa niemieckie miały dotychczas poprostu monopol na zaopatrywanie całej Polski, każdej parafji, każdego dziecka polskiego w obrazki komunijne i inne. Należy dodać, że obrazki te pod względem artystycznym nigdy na wyżynie nie stały.

Gdy nadszedł kryzys gospodarczy ze swojemi skutkami, t. j. w pierwszym rzędzie bezrobociem, powszechną pauperyzacją, biedą i nędzą, poczęło się mówić głośno, a nawet nawoływać, że — chcąc ratować tysięczne rzesze robotnicze przed brakiem pracy i chleba — należy propagować potrzebę kupowania wyłącznie wyrobów krajowych. Co się produkuje w kraju, nie sprowadzaj z zagranicy! Żądaj towaru krajowego u kupca polskiego!

Z jednej strony księży proboszczów, z drugiej strony rodziców począł razić niemiecki obrazek komunijny i inny... Jakto? W ciągu 15 lat niepodległego bytu rozwinęły się w Polsce różne bardzo skomplikowane gałęzie przemysłu, rozwinął się pięknie np. przemysł chemiczny, a bez obrazka niemieckiego obejść się nie możemy? Czy obrazka w kraju wyprodukować nie umiemy?

Owszem potrafimy, ale społeczeństwo polskie musi pytać się o obrazek polski i go nabywać — musi pamiętać, że, kupując obrazek polski, popiera malarza polskiego, drukarza polskiego i polskie przedsiębiorstwo.

Malarz śląski, prof. Stanisław Ligoń, znany w całej Polsce ze swoich „Berów i Bojek", wygłaszanych w radjo katowickiem, stworzył kilka obrazów komunijnych i zachęcił Zakłady Graficzne Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie do wykonania obrazków komunijnych. Obrazki te ukażą się na rynku polskim po Nowym Roku. Walorami jego są:

1. Zostały wykonane artystycznie przez artystów polskich.

2. Zostały wykonane ładnie — nie gorzej jak niemieckie — w kraju i w zakładach polskich.

3. Są do 50% tańsze niż obrazki niemieckie.

Do Nowego Roku ukażą się 3 serje każda w trzech wielkościach. Reprodukcje pierwszych dwuch serji poniżej podajemy. Obrazki są wykonane w 9 kolorach.

Ceny każdej serji następujące:

Wielkość	38 × 27 cm.	. . 40 gr.	sztuka.
„	27 × 19 „	. . 25 „	„
„	19 × 13,5 „	. . 15 „	„

Przy większych ilościach udzielamy dodatkowo stosownego rabatu. Obrazki wysyła się za zaliczeniem pocztowem w terminie oznaczonym przez klienta.

Celem uregulowania nakładów, zamówienia już przyjmujemy.

Zakłady Graficzne Leopold Nowak, Królewska Huta (G. Śląsk)
ulica Hajducka 15. Telefon nr. 1167. Polska — Poland.





CENA 1 ZŁ
ZESZYT 3 1933 r.

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ



Święte schody w Guadeloupe w Meksyku, które prowadzą do Tepeyacao